NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 20 maja 1911. Nr. 20.

Zamach z miłości.

(Treść na str. 2).



Nr. 19. „Nowości illustrowanych" zawiera: Konkurs hippiczny w Krakowie — Przedstawienie dramatu klasycznego w Przemyślu. — Niezwykła fotografia. — Nowy dramat historyczny. — Jubileusz chóru akademickiego. — Wyścigi konne we Lwowie. — Z ekspedycyi do bieguna południowego. — Tragiczny wypadek. — Rydwan tryumfalny Sobieskiego. — Gościna znakomitego aktora.

Zamach z miłości.

(Do illustracyi tytułowej).

Miłość popycha ludzi do bardzo rozmaitych czynów. Do dobrych często, do złych jeszcze częściej. Nawet zbrodnie najcięższe popełniają nieraz ludzie, gdy nimi owładnie potężny a niezdrowy szał erotyczny.

Na takiem właśnie tle miłosnem rozegrała się w ubiegłym tygodniu we Lwowie mała tragedya,



Ustąpienie szefa rządu krajowego w Bośni: Jenerał kawaleryi Maryan Varesanin v. Vares.

która, zdaje się, nie skończy się tak smutno, jak się w pierwszej chwili wydawać mogło.

Bohaterami jej są: młody, niespełna 30 lat liczący architekt Bolesław Batorski i o rok odeń młodsza Zofia Czaplówna, do niedawna kasyerka w jednej z kawiarń czy mleczarń lwowskich. Między dwojgiem tych młodych osób zawiązał się niedawno bardzo serdeczny i poufały stosunek. Przez jakiś czas mieszkali nawet kochankowie razem, w maju jednak zamieszkał p. Batorski znowu ze swem rodzeństwem, dla bogdanki zaś swej wynajął osobne mieszkanie przy ul. Kampiana i tam ją często odwiedzał.

Od pewnego czasu, jak to zresztą bardzo często bywa, czułe stosunki między dwojgiem młodych ludzi uległy zmianie na gorsze. Co między nimi zaszło, nie wiadomo na pewne, dość że widoczne było pewne zobojętnienie, zwłaszcza po stronie kochanka. Prawdopodobnie zamyślał on zerwać krępujące go więzy miłości, a Czaplówna, przeczuwając to i odczuwając, stała się bardziej niespokojna i nerwowa.

Mimo to p. Batorski nie zaniechał odwiedzin w domu Czaplównej. Był u niej ostatni raz w ubiegły piątek. Prawdopodobnie dał jej poznać wówczas, że radby zakończyć stosunek. Wiadomość ta, choć niewątpliwie oczekiwana, wyprowadziła rozkochaną dziewczynę z równowagi. Na razie nie dała tego poznać po sobie i z pozornym spokojem zgodziła się na przechadzkę z nim. Wyszedłszy jednak z domu, dobyła nagle rewolweru i strzeliła w pierś Batorskiemu. Na odgłos strzału i widok słaniającego się skutkiem rany młodego człowieka, powstało zbiegowisko, wezwano pogotowie ratunkowe i przewieziono rannego na klinikę. Okazało się, że strzał, choć dany z bliska, nie był groźny, gdyż zranił tylko klatkę piersiową, nie naruszając żadnego z ważniejszych organów.

Równocześnie policya zajęła się osobą sprawczyni zamachu i aresztowała ją przed mieszkaniem Batorskiego, w chwili gdy Czaplówna bawiła tam, chcąc się dowiedzieć o stanie zdrowia kochanka. Do czynu się przyznała, oświadczając, iż zamierzała odebrać życie kochankowi i sobie, nie mogąc przeżyć rozstania się z nim.

Nasza illustracya tytułowa przedstawia scenę zamachu Czaplównej na inż. Batorskiego w ul. Kampiana.



Konkurs hippiczny w Krakowie: Grono członków komisyi sędziów; 1. JE. Böhm-Ermolli; 2. Generał-major F. v. Dondorf.

Jubileusz chóru akademickiego.

Dwadzieścia pięć lat ubiega od chwili, gdy krakowska młodzież akademicka zawiązała chór własny. O artystycznem i kulturalnem znaczeniu tej instytucyi mówić nie trzeba, gdyż powszechnie jest wiadome, jak ważnym czynnikiem w duchowym rozwoju społeczeństwa jest muzyka, a jeszcze w większym stopniu śpiew, przystępny dla szerszych mas, przemawiający do ludzi, pozbawionych specyalnego wykształcenia w tym kierunku. Ograniczymy się więc do określenia roli, jaką pożyteczne to towarzystwo odegrało w życiu akademickiem. Dostarczając członkom swym szlachetnej rozrywki, wpływało korzystnie na rozwój młodych pokoleń, odciągając młodzież od pokus wielkomiejskich, a przytem przyczyniając się w wysokim stopniu do zacieśnienia serdecznych węzłów koleżeństwa.

To też jeżeli przebiegniemy okiem spis tych byłych członków chóru, którzy podpisują zaproszenie do wzięcia udziału w jego jubileuszu, spotkamy się tam z nazwiskami ludzi bardzo poważnych, z nazwiskami obywateli bardzo zasłużonych we wszystkich gałęziach pracy społecznej. To jest najlepszem



Jubileusz chóru akademickiego: Grupa obecnych czynnych członków.

świadectwem dla wpływu, jaki chór akademicki wywarł na życie młodzieży, a temsamem na ukształtowanie się charakteru pokoleń, wśród których działał.



Konkurs hippiczny w Krakowie: Widok tłumów publiczności obok Irish-bank i na trybunie

Dodać należy, że nie było obchodu narodowego, nie było uroczystości ważnej dla całego społeczeństwa, w którychby chór akademicki w tym czasie nie wziął udziału. Jeżeli rocznica lub obchód były smutne, śpieszył z żałobnem pieniem, jeżeli był powód do radości, w wesołe uderzał tony — ale zawsze jawił się świadomy swego obowiązku, nie zamykając się w ciasnem kole, zakreślonem czysto artystycznymi celami.

Uroczystości jubileuszowe będą skromne, ale czaru doda im ta pieśń, która stała u kolebki towarzystwa i która towarzyszyła mu przez cały ciąg jego istnienia, a o której mówi poeta, że przeżyje wszystkie klęski i kataklizmy dziejowe, że

Z archanielskiemi skrzydłami i głosem dzierży czasem i miecz archanioła.

„Na święto pieśni“, mówi odezwa towarzystwa, „zapraszamy wszystkich, którzy w jej zdroju, wiecznie żywym i wiecznie ożywczym czerpali i znów zaczerpnąć chcą wrażeń nieskażonych żadnym cieniem i uczuć niezatrutych żadną goryczą. Wzywamy na nie wszystkich, którym nie przestało być drogiem wspomnienie bujnych i górnych lat młodych, wszystkich, którzy dochowali wiary „ślubom śpiewaczego koleżeństwa“.

Uroczystość odbędzie się 27 b. m. Obejmie ona uroczyste nabożeństwo w kościele św. Anny (o godzinie 10), zdjęcie wspólnej fotografii, „Akademię“ w Uniwersytecie (o godz. 12), koncert w sali Starego teatru (o godz. 7½) i zebranie koleżeńskie.

Program koncertu składa się z produkcyi całego chóru oraz produkcyi wokalnych poszczególnych jego dawniejszych członków. Między innemi przyrzekła współudział p. Karolina Pietraszewska, znana artystka opery warszawskiej. Wypełnią wieczór wyłącznie utwory polskich kompozytorów.

Oceniając dorobek artystyczny i kulturalny chóru i doniosłość jego działalności, gratulujemy mu długiego i owocnego istnienia, a zarazem składamy życzenia, ażeby, wierny swym świetnym tradycyom, pracował dalej w tym samym duchu i z tymi samymi wynikami.

Konkurs hippiczny w Krakowie.

W ubiegłą niedzielę odbył się na torze wyścigowym dziewiąty z rzędu konkurs hippiczny, urządzony przez Galicyjski Klub jazdy panów w Krakowie. Udział w popisach wzięli wyłącznie oficerowie, a także skład sądu stanowili oficerowie, mianowicie JE. polny marszałek porucznik Böhm-Ermolli, JE. polny marszałek porucznik hr. Huyn, generał major F. Dondorf, pułkownicy E. baron Diller i Le Gay Edler von Lierfels, podpułkownicy Jarosław Dworak i bar. Sessler v. Herzinger, oraz rotmistrzowie bar. Rohn de Rohnau i G. v. Angeli.

Dzięki przepięknej pogodzie publiczność zebrała się niezmiernie licznie, jak nigdy dotychczas na konkursach hippicznych, które ostatecznie dla szerszej publiczności nie przedstawiają większego interesu. Swoją drogą w tym roku program był wyjątkowo urozmaicony a do konkursu stanął zastęp jeźdźców bardzo liczny.

Na program złożyły się: popisy w jeździe konnej i braniu przeszkód, popisy w skokach konnych przez przeszkody, jeu de Barre i wyścig myśliwski.

W pierwszej kategoryi nagrodę pierwszą, ofiarowaną przez cesarza i dodatek Klubu w kwocie 800 kor., otrzymał porucznik Hubert Brabec za piękną jazdę na 7-letnim „Hermelinie“, drugą rotmistrz K. Schmidt de Földvar za jazdę na 7 letniej „Ju-



Konkurs hippiczny w Krakowie: Uczestnicy zawodów w skokach przez przeszkody (od lewej ku prawej): podpor. Zawadil, por Fanto i podpor. Gewinner przed komisyą sędziów; wśród nich JE. hr. Huyn (X).



Przedstawienie dramatu klasycznego w Przemyślu: Grupa uczniów gimnazyum I, którzy odegrali Antygonę Sofoklesa. W środku reżyser prof. Strycharski. Po lewej stronie prof. Burzyński. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

lesie", trzecią rotmistrz baron Rohn de Rohnau, czwartą porucznik Rieder, piątą porucznik Kriger.

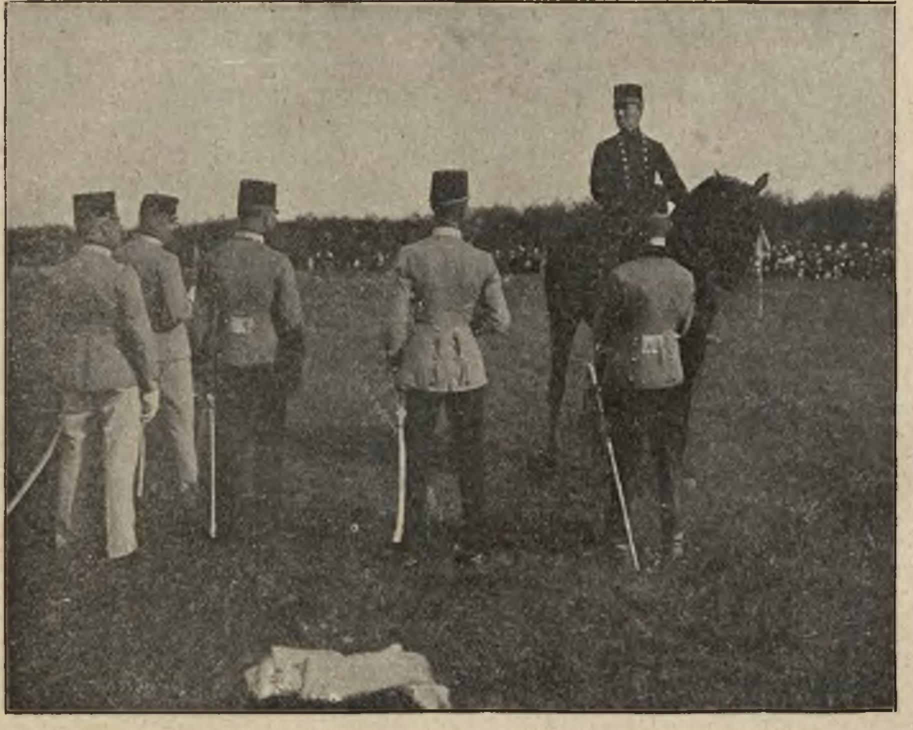
Za skoki konne przez przeszkody, między temi przez wał szeroki (Irish-bank), pierwszą nagrodę przyznano kapitanowi sztabu generalnego hr. Ueksküll na 6 letnim wałachu „Kozma", drugą porucznikowi Keiblingerowi, trzecią porucznikowi Skrbensky'emu, czwartą porucznikowi R. Fancie, piątą por. G. Gewinnerowi.

W „Jeu de Barre" nagrodę otrzymali porucznicy Rieder i Paul, oraz podporucznik Osterman.

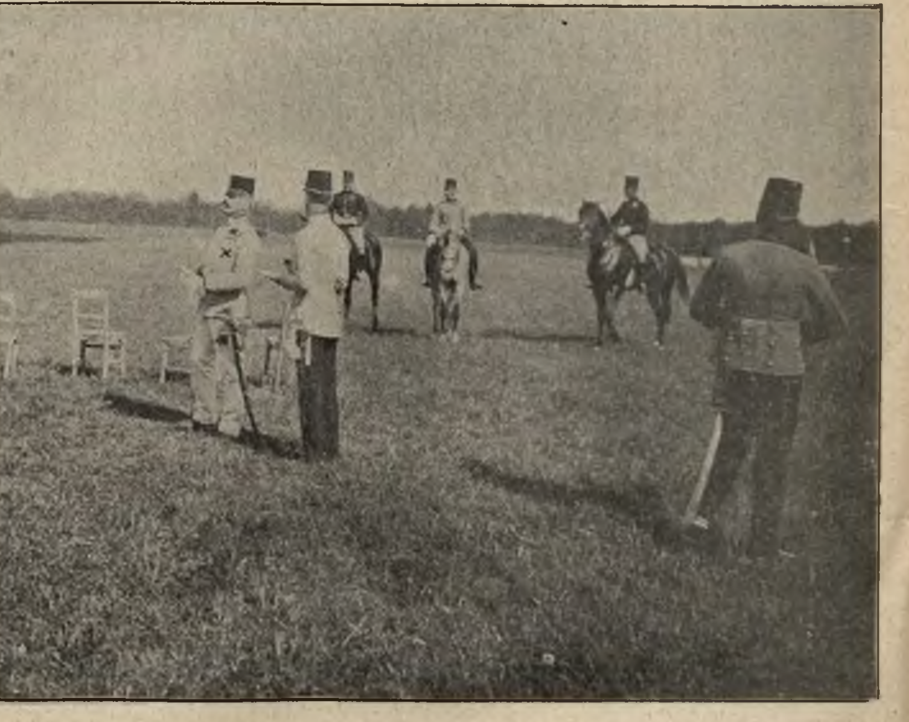
Przebieg bardzo pięknych popisów zamącił przykry wypadek, jaki wydarzył się przy braniu przeszkody porucznikowi hr. Montecuccoli'emu. Mianowicie koń jego, potknąwszy się na przeszkodzie, upadł, przygniatając jeźdźca, który wskutek bolu i silnego wstrząśnienia mózgu stracił przytomność. Odwieziono go niezwłocznie w towarzystwie lekarzy do szpitala garnizonowego.

Na zakończenie odbył się wyścig myśliwski na przestrzeni 4000 m. Startowało pięć koni. Pierwszy stanął u mety wałach „Trapper" por. Klotzberga pod właścicielem, drugi wałach „Eclaireur" por. Krigera pod właścicielem, trzeci wałach „Folderol" por. bar. Nevin O'Kelly'ego pod p. Karolem Zangenem.

Totalizator, który przy tym biegu był czynny, płacił za 10:34 kor.



Konkurs hippiczny w Krakowie: Zdobywca pierwszej nagrody za skoki konne przez przeszkody, kapitan sztabu generalnego Mikołaj hr. Uexküll, na 6 l. wałachu „Kozma".



Konkurs hippiczny w Krakowie: Komenderujący korpusu krakowskiego generałzbrojmistrz bar. Weigl (X) na placu popisów.

Przedstawienie dramatu klasycznego w Przemyślu.

Jedną z dążności współczesnego teatru jest odtwarzanie arcydzieł dramatycznych literatury starożytnej z jak największym pietyzmem i o ile możności najbardziej stylowo. Obok usiłowań zawodowych aktorów postawić należy próby uczącej się młodzieży i jej nauczycieli, gdyż brak scenicznej rutyny równoważy w tym wypadku obeznanie z kulturą klasyczną i odczucie ducha literatury greckiej i rzymskiej.

W Krakowie cieszą się przedstawienia „Kółka miłośników dramatu klasycznego", zasłużoną popularnością. Ale i prowincya kusi się niejednokrotnie z powodzeniem o wystawienie dramatów starożytnych. Z ostatnich czasów mamy do zanotowania odegranie przez uczniów gimnazyum I. w Przemyślu „Antygony" Sofoklesa.

Wykonawcami byli członkowie kółka filologicznego tegoż gimnazyum, pomysł należał do młodego profesora języków klasycznych, p. Strycharskiego, który też z podziwu godną energią i znajomością rzeczy zajął się reżyseryą. Dekoracye wykonali uczniowie w pracowni stolarskiej I. gimnazyum, malował je p. Stroński, Przemyślanin, słuchacz Akademii sztuk pięknych w Krakowie. Urządzaniem sceny zajmował się prof. Burzyński, garderobą zawiadywała p. Strycharska.

Warunki były trudne, choćby ze względu na to, że wykonawcami ról kobiecych byli, jak w teatrze Szekspira, chłopcy. Mimo to poziom artystyczny przedstawienia, poprzedzonego pięknem przemówieniem reżysera, przeszedł najśmielsze oczekiwania. Zapał i intuicya zastąpiły wprawę artystyczną a niektóre role przedstawiały się wprost świetnie. Publiczność nagradzała młodocianych artystów częstymi oklaskami, a i dochód, przeznaczony na biednych uczniów, był pokaźny. To też prof. Strycharski, zachęcony powodzeniem, zamierza w przyszłym roku szkolnym nadal urządzać podobne przedstawienia. Być może również, że „Atygona" powtórzona będzie w tej samej obsadzie we Lwowie.

Autor naszej nowej powieści.

Walery Przyborowski, którego powieść z dniem dzisiejszym zaczynamy drukować, jest osobistością znaną i cenioną w świecie literacko-naukowym i ma za sobą pokaźny dorobek pisarski.

Urodzony w r. 1845 w Domaszowicach w Kieleckiem, uczęszczał do szkół średnich w Kielcach i w Radomiu, następnie zaś słuchał nauk filologicznych na uniwersytecie warszawskim. W tym czasie został współpracownikiem „Wieku" i „Gazety Warszawskiej", a przez jakiś czas redagował „Chwilę". Ale publicystyka była u niego tylko okresem przejściowym, gdyż wprędce przerzucił się na pole studyów historycznych i powieści historycznej, której odtąd prawie niepodzielnie się poświęcił.

Jakkolwiek i literaturze naukowej się zasłużył, najwięcej czterotomowem studyum p. t. „Historya dwóch lat", to punkt ciężkości dzieł jego tworzą powieści historyczne, których napisał znaczną ilość, a między któremi dużo jest rzeczy pierwszorzędnej wartości. Tematu szukał przeważnie w dziejach ojczystych, a opracowywał go zawsze nadzwyczaj zajmująco i barwnie. Pisał wiele dla młodzieży, nie polegało to jednak na jakiemś ścieśnianiu widnokręgu badacza i obserwatora, lecz na ogromnej przystępności, która czyni utwory jego zarówno interesującymi dla młodszych i starszych.



Autor naszej nowej powieści: Walery Przyborowski.

Trudnoby było wyliczyć wszystkie jego utwory, wymieniamy zatem najbardziej znane i najcelniejsze. Aryanie (1875), Napad o Cześnikównę (1878), Rubin wezyrski (1879), Oblężenie Warszawy (1879), Płowce (1884), Myszy króla Popiela (1888), Wysokie progi (1891), Attyla, bicz Boży (1897), Rycerz Mora (1897).

Obecnie mieszka Przyborowski w Radomiu, gdzie zajmuje stanowisko profesora szkoły handlowej. Posiada nadzwyczaj cenną i liczną bibliotekę, która umożliwia mu prowadzenie dalej studyów historycznych. Nagromadzony w ten sposób materyał użytkuje dalej w powieściach z dziejów ojczystych, a mimo podeszłego wieku nie ustaje w pracy i nic nie stracił z zapału i energii swego wieku dojrzałego.

Parę słów o powieści „Czerwona mara", którą powiodło nam się pozyskać, umieściliśmy już w poprzednim numerze. Obecnie uzupełniamy je krótkim rysem twórczości Przyborowskiego, którego portret równocześnie podajemy.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

All is true.

I.

Słońce lipcowe przypiekało mocno. Stary owczarz ze wsi Góry, wypędziwszy owce na ugorzysko pod lasem, legł w cieniu krzaków, by się uchronić od upału. Nie lubił on tego pola; budziło w nim mnóstwo przykrych wspomnień. Dotąd na skraju lasu, nad mokradłem, które się rozciągało aż do rzeki, widniała porosła jałowcem i zielskiem wszelakiem, na pół zapadła mogiła, usypana przed czterdziestu przeszło laty nad mnóstwem ciał. Pamiętał on te czasy, wszak żywy brał w nich udział i był podobno czynnym widzem tego, co się tu działo wtedy, choć nie lubiał o tem gadać. Znany był zresztą z małomówności, ze zgryźliwego usposobienia w całej okolicy i wszyscy mieli dlań wielkie poszanowanie, bo był mądry, bano go się trochę, choć chłopi za plecami owczarza podrwiwali sobie z tego, że „po ślachecku“ z Orczyka, Błażeja Orczyka, przezwał się Orczykiewiczem.

Ale mu ta niewinna próżność w niczem nie szkodziła. Owczarz to był nad owczarze, a leczyć umiał tak, że niech się schowają wszystkie warszawskie i krakowskie doktory. Przypędził on owce dworskie tego rana na ugór pod lasem, naprzód dlatego, że tam rosła obficie macierzanka, a jak on ją zwał po staremu, „macierzanka duszka“, oraz dwa zioła rzadkie i w całej okolicy nigdzie nie znajdowane, tylko tutaj, koziolep i oset szkapi albo czartowski, wypróbowane lekarstwa na wściekliznę. Orczykiewicz przyrządzał z tych ziół cudowny dekokt, który sprzedawał za psie, jak mówiono, pieniądze, bo za trzy czeskie czyli 18 groszy każdemu, którego pies wściekły pokąsał. Prócz tego zbierał tu mech jaszczurczy, najpewniejszy środek na kolki w brzuchu; mech ten rósł i gdzieindziej, ale tutaj, około mogiły było go najwięcej, a Orczykiewicz przypuszczał, że dlatego te rzadkie zioła tak obficie występują na ugorze i trzęsawiskach pod lasem, że ziemia tu była przesiąknięta krwią i wapniami ciał, pochowanych w mogile, ale o tem nikomu nie gadał, bo co o tem głupie chłopy wiedzą i rozumieją!

Wszystkie te zbawienne zioła trzeba było zbierać co dwa dni po pełni, o samym wschodzie słońca i dlatego to dziś Orczykiewicz o świtaniu wypędził owce na ugorzysko, leków tych dużo nazbierał i starą, wytartą, niegdyś myśliwską torbę borsuczą napełnił niemi i teraz zmęczony, bo przecie liczył przeszło siedmdziesiąt lat, legł pod chojakami nieopodal mokradła i mogiły, by sobie odpocząć. Krzyż go zabolał i spocił się mocno i oczy mu się kleiły i chciał już zdrzemnąć się trochę, bo naprzód stary Burek, psisko wierne i mądre, upilnuje owiec, a potem od czegóż jest pastuch i pomocnik Orczykiewicza, Wojtek, Mecherzyna przezwiskiem.

Co prawda Orczykiewicz więcej polegał na mądrym Burku, niż na Wojtku, który był latawiec, próżniak, do hulanki i dziewuch jedyny, ale nie do pracy. Zwąchał się szelma z jakimiś podejrzanymi ludźmi, którzy Bóg wie skąd kręcili się po wsi, z jakimś, jak go nazywał „sołdatem“ i podparłszy się pod boki, gadał:

— A wiecie Błażeju, że tera nie będzie nijakich dziedziców, lecz takie czasy nastaną, co to wszyćko, jak okiem sięgnąć, będzie nasze.

— A niby kogójś? — pytał Orczykiewicz.

— Ano, moje i wszyćkich.

— Twoje, a bez co to ma być twoje?

— Bez cóż? ano takie tera prawa nastaną.

Orczykiewicz patrzył, patrzył na Wojtka, wreszcie splunął i mruknął:

— Oj głupi, głupi ośle! Ja ci pedam kpie, że nim to wszyćko będzie twoje, to ja cię przódy tak zerznę pasem, że ruski miesiąc popamiętasz.

— Owa! Za cóż to macie mnie zerznąć pasem?

— Za to, że nie pilnujesz tego, z czego masz chleb.

— Tera nie będzie wolno bić, nie będzie ani panów, ani nikogo, coby pasem rznął, tera będzie równość.

Tak gadał Wojtek, ale trzymał się zdaleka od owczarza i podejrzliwem okiem spoglądał na tęgi, rzemienny pas, którym ten podtrzymywał na sobie sukmanę. I teraz oto, gdy Orczykiewicz nazbierawszy ziół, legł sobie dla odpoczynku pod chojakiem, Wojtek zamiast pilnować owiec kręcił się ciągle po ugorzysku i po lesie, ziewał głośno, przeciągał się i przypatrywał, jak kawki ni stąd ni zowąd zleciały się na starą, na pół spróchniałą wierzbę, stojącą nieopodal mogiłki i czegoś zawzięcie krakały i darły się nielitościwie.

Z początku patrzył dość obojętnie na te ptasie wrzaski i spory, ale niebawem zauważył, że kawek coraz więcej przybywało, krzyk się wzmagał, a nawet niektóre z nich rzucały się wewnątrz spróchniałego pnia wierzby, zrywały się, znowu tam spadały i wogóle niepokój ich robił wrażenie, jakby one tam coś widziały. Zaciekawiony tem Wojtek, ruszył ku wierzbie, by zobaczyć, co to tak niepokoi wrony i kawki, a gdy spłoszone jego pojawieniem się ptaki, z krzykiem wzbiły się w górę, nie przestając jednak krzyczeć nad wierzbą, wdrapał się na nią i zajrzał do wnętrza. To, co ujrzał, zgrozą go przejęło.

Pień starej, ogromnej wierzby był wewnątrz zupełnie spróchniały i w tym otworze, sięgającym aż do ziemi, stał kościotrup człowieka. Słońce, przedzierając się przez gałęzie, oświecało jaskrawo nagą, białą czaszkę szkieletu, na której tu i ówdzie sterczały kępki ciemnych włosów. Obok niej zwisało, oparte o korę, o zmurszałe gałęzie, coś podobnego do czapki spłowiałej barwy czerwonawej, na pół przegniłej i sterczał rdzą pokryty żelazny bagnet. Dokoła widać było resztki gliny, gałęzi, suchych liści, które zapewne dotąd pokrywały i osłaniały tę czaszkę trupią, a teraz wskutek jakiegoś wypadku opadły i odkryły szkielet, wywołujący widokiem swoim niepokój wśród wron i kawek. Reszta dziupli drzewnej była przepełniona takimi samymi szczątkami, czarna i ciemna i nie dozwalała widzieć, czy cały tam szkielet ludzki się kryje, czy też jedynie głowa leży oparta, zapewne na zgniłem wnętrzu drzewa.

Wojtek skamieniał. Patrzył, patrzył na tę białą jak śnieg trupią głowę, wreszcie chwycił go strach zabobonny, zeskoczył conrędzej na ziemię i jakby go widmo szkieletu ścigało, począł uciekać, wołając:

— O laboga! laboga! rety!

Te jego krzyki zbudziły na pół już drzemiącego Orczykiewicza. Podniósł się nieco, oparł na łokciu i krzyknął:

— Wojtek, a ty czego się drzesz? co się zaś stało?

Niespokojny był bardzo, czy czasem wilk się nie pojawił śród jego stada owczego, choć o wilkach od pięćdziesięciu lat nikt tutaj nie słyszał, więc podniósł się lepiej, obejrzał dookoła, a widząc, że jego owieczki pasą się spokojnie, Burek drzemie na słońcu, nie mógł zrozumieć, co się Wojtkowi stało, czego ten leci i krzyczy swoje rety! Więc jeszcze raz zawołał:

— Co ci jest? gadaj, czy cię giez ukąsił, czyś się wściekł?

Na te słowa Wojtek przecie się upamiętał, zatrzymał się, spojrzał z przerażeniem na suchą wierzbę, na którą znowu ze złowrogiem krakaniem zlatywać się zaczęły wrony i odrzekł:

— Ale! Wściekł się!... dobrze wam tak gadać, ale idźcie no, obaczcie, co tam jest we wirzbie.

— W jakiej wirzbie?

— A w tej, kole mogiłki.

Orczykiewicz spojrzał na tę wierzbę i widząc gromady wron, nad nią unoszące się, nie mógł zrozumieć, co to znaczy, ale zaniepokojony, podniósł się ciężko na nogi i spytał:

— Cóż tam jest? gadaj!

— Obaczcie sami, tam jest nieboszczyk.

— Jaki nieboszczyk?

— Wiem ja to, jaki nieboszczyk... pewnikiem kogoś zakatrupili i w suchą wirzbę wsadzili. O laboga, jeszcze mi ciarki po skórze chodzą. Ażem zcierpł.

— Co ty pleciesz głupi? Kogo zakatrupili?

— Wiem ja, kogo? Idźcie sami i obaczcie.

Tedy Orczykiewicz wziął laskę w rękę i gadając:

— Oszalał głupi, czy co? — ruszył ku wierzbie.

Za nim, zdaleka, gotowy każdej chwili do ucieczki, posuwał się ostrożnie Wojtek, za Wojtkiem Burek, który zbudzony krzykiem chłopaka i rozmową z owczarzem, podniósł łeb, chwilę patrzył i nadsłuchiwał, jakby rozumiał, o co idzie, wreszcie, widząc swego pana wstającego, uczynił to samo i leniwie, ze spuszczonym ogonem, jakby tem chciał dać przeczuć, że wcale mu się to nie podoba, że jego słodką drzemkę na słońcu przerywają, powlókł się za Orczykiewiczem.

Wrony za zbliżaniem się tego ostatniego z przeraźliwym krzykiem pozrywały się, ale nie przestawały kraczeć nad złowieszczą wierzbą, a nawet większa ich część posiadała na pobliskich sosnach lasu i wykręcając czarne łby, przypatrywały się czynnościom owczarza. Ten obejrzał wierzbę z wierzchu starannie, ale oczywiście przekonał się, że przy swoich siedmdziesięciu latach, nie może nawet myśleć o wdrapaniu się na nią. Skinął tedy na Wojtka, żeby się zbliżył, ale ten, przejęty zabobonną trwogą, wcale nie chciał tego uczynić, aż dopiero po długich naleganiach i groźbie orżnięcia rzemiennym pasem przyszedł.

— Pedasz — pytał Orczykiewicz — co tam jest nieboszczyk?

— A jest.

— Widziałeś go?

— Juści, że widziałem.

— Podsadźże mnie, niech i ja obaczę.

— Dam ja to wam radę?

— Głupiś! bylem się chycił rękoma tej oto grubej gałęzi, to i sam się wdrapię.

Jakoż tak się stało. Wojtak, chłopak tęgi, barczysty i zdrowy, jak byk, z łatwością uniósł w górę chudego, jak szczapa i cienkiego, jak tyczka, Orczykiewicza, a ten, chwyciwszy się grubej gałęzi, wdrapał się na wierzch wierzby, sapiąc, jak miech kowalski i stękając głośno. Znalazłszy się na szczycie suchego pnia, spojrzał do jego wnętrza, patrzył długo, nawet ręką po coś sięgnął, wreszcie przeżegnał się nabożnie i zsunął się na ziemię. Tu usiadł sobie, oddychając ciężko i nic nie mówiąc, ale surowe jego, spłoniałe i zaczerwienione oczy groźnie jakoś błądziły po lesie, po Wojtku, po mogiłce i owcach. Wreszcie rzekł do stojącego opodal Wojtka:

— Słuchajno Wojtek... jeśli mi słówko komu piśniesz o tym nieboszczyku we wirzbie, to ja cię bić nie będę, ale uczynię coś takiego, że umrzesz straszną śmiercią... to ci powiadam, żebyś wiedział, hyclu jakiś.

— O laboga! cóżem wam krzyw, że mię tak pomstujecie?

— Ani mi pary z gęby nie puść o tem, coś tu widział, rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć?

— Nie będziesz gadał?

— Co mam gadać?

— Przed nikim, zapowiadam ci, przed żadną dziewką, z któremi się gzisz, ani nawet przed Józefką Podkówną, co z nią wieczorami za oborą wystajesz.

Wojtek niby zawstydził się, odwrócił i mruknął:

— Widzieliście to mnie, żebym z Józefką wystawał za oborą?

— A widziałem, bo ja wszystko wiem i widzę. Taką mi Pan Jezus dał moc i taki zakon. To ci zapowiadam, że, chociażbyś w największym sekrecie, komu jedno słówko pisnął o tej wirzbie i o nieboszczyku, to ja zaraz będę wiedział i niech cię Pan Jezus broni, co się z tobą wtedy stanie.

— O laboga! com wam winien?

— Nie będziesz gadał?

— Nie będę.

— Przysięgasz?

— Przysięgam.

— Pamiętaj! a tera spędź owce, wracamy do domu, już też słońce ma się ku południowi.

Wojtek w milczeniu spełnił ten rozkaz, ale mu dziwno było, dlaczego stary Orczykiewicz tak uroczyście go zaklął, żeby w tajemnicy zachował wiadomość o nieboszczyku w wierzbie i zagroził mu straszną śmiercią, jeżeli komu o tem powie.

— Ani chybi, stary pewnikiem ma jakiś interes w tem...

Spędzał owce i myślał:

— Czarownik to dziad... zna zielska i leki rozmaite... ani chybi z nieboszczyka kości powyjma i będzie z nich warzył o północku różne napoje. To ci dopiero chytry dziad, a mnie chudziaka może zatracić... Żeby go kolka sparła.

Spędził nakoniec owce i wolno ruszono na gościniec, do wsi prowadzący. Orczykiewicz szedł w milczeniu, z głową spuszczoną, zamyślony, nie zważając na ogromne chmury kurzu, jakie z wyschniętej ziemi duże stado owiec podnosiło. Wojtek też nic nie gadał, bo mu różne myśli do głowy przychodziły, jeden tylko Burek naszczekiwał i pilnował, by owce kupy się trzymały, jak to był jego psi obowiązek.

Orczykiewicz kazał owce wpędzić do owczarni i na wielkie zdziwienie Wojtka, powlókł się do dworu.

II.

Orczykiewicz mylił się, a może umyślnie tak gadał dla usprawiedliwienia swego wczesnego powrotu do domu, że słońce ma się ku południowi, gdyż był to jeszcze ranek, zaledwie dziewiąta godzina wybiła na zegarze w saloniku dworu w Górze.

We dworze tym, na werandzie, wychodzącej na

ogród, pełen teraz blasków, cienia i woni kwiatów, przy dużym stole, zastawionym przyborami do śniadania, siedziały trzy osoby. Jedna z nich, kobieta już nie młoda, nieco otyła, jasna blondynka z wyrazem dobroci na twarzy, podniosła się właśnie z krzesła i zwracając się do mężczyzny, siedzącego w niedbałej pozie, z głową, spuszczoną na piersi, jakby go przygniatał jakiś ciężar nieznośny, spytała:

— No i jakże, panie Stanisławie, na ileż osób mam obiad szykować?

Podniósł głowę, skrzywił się, jakby mu kto na nagniotek nastąpił, ziewnął skrycie i odrzekł głosem znudzonym:

— Albo ja wiem? skądże ja mam wiedzieć? Napewno to tylko wiem, że dziś przyjeżdża o godzinie trzeciej popołudniu jakiś pan Sergij Bolesławicz Kozłowski z Petersburga, asesor kolegialny.

Siedząca naprzeciw młodzieńca, pana Stanisława, młoda panna, silna brunetka, o ognistych czarnych oczach, namiętnych, purpurowych ustach, ładna, dobrze zbudowana i zapewne nie więcej nad lat 18 licząca, uśmiechnęła się szyderczo i zapytała:

— Czy i to także krewny?

— Nie wiem, nazywa się Kozłowski.

— Ja myślę, że w Polsce Kozłowskich możnaby naliczyć dziesiątki tysięcy.

— Zapewne! — mruknął niechętnie pan Stanisław i począł błądzić oczami po ogrodzie, po rabatach kwiatów i kilku białych chmurkach, unoszących się na niebie błękitnem.

Tymczasem stojąca starsza dama z niezakłóconym spokojem zwróciła znowu swą dobrą, milutkimi dołeczkami przy ustach okraszoną twarz i spytała:

— Więc jakże, panie Stanisławie, na ile osób mam obiad przygotować?

Pan Stanisław rozpaczliwie rozłożył szeroko ręce i zawołał z komicznem przerażeniem:

— Nie wiem, powiedziałem już pani, że nie wiem.

— Więc cóż ja zrobię?

Wdała się w to młoda panna i rzekła tonem gniewnym:

— Niech mama nie nudzi swoim obiadem, akurat też teraz są czasy, żeby myśleć o obiadach.

— Dobrze ci tak mówić, bo się niczem nie zajmujesz. Wszystko jest na mojej głowie, a jak nie będę miała co dać jeść gościom, to będzie wstyd.

— Niech pani robi, co pani chce — zawołał Stanisław — niech pani przygotowuje obiad i na sto osób!

To rzekłszy, objął rękami głowę i głosem rozpaczliwym zawołał:

— Boże, jak mnie to nudzi wszystko!

Starsza dama założyła pulchne ręce na wydatnym brzuszku i rzekła swym spokojnym, miękkim głosem:

— Pan sobie żartuje, a ja doprawdy nie wiem, co robić.

— Mówię mamie, niech mama nie nudzi — wtrąciła młoda panna.

Starsza dama chciała coś rzec, ale widocznie rozmyśliła się, westchnęła żałośnie i włożywszy białe ręce w kieszonki fartuszka (w którym jej zresztą było bardzo do twarzy), wyszła z werandy.

Młodzi ludzie zostali sami. Pan Stanisław ciągle błądził oczami z wyrazem znudzenia i troski po ogrodzie, panna przyglądała mu się z boku i przez jakiś czas trwało milczenie, przepełnione szmerem tysiąca pszczół, obsiadających stojącą w pobliżu starą ogromną lipę, obsypaną obficie kwiatem. Po ogrodzie, pełnym drzew owocowych i nieco zaniedbanym, drżał nieuchwytny szmer świeżego letniego poranku, ptaki świergotały, a słońce ciskało złote plamy na srebrną aleję, piaskiem wysypaną, od werandy w głąb sadu prowadzącą. Milczenie to przerwała panna.

— Więc to będzie duży zjazd?

— Zdaje się — odparł obojętnie pan Stanisław.

— Jakto zdaje się? przecież pan musisz wiedzieć, kto przyjedzie, znasz wszystkich swoich krewnych.

— Wcale nie.

— To dziwne.

— Niema w tem nic dziwnego. Pani przecież wiesz, że od wczesnej młodości bawiłem za granicą na studyach i z moimi krewnymi albo żadnych, albo bardzo przelotne miałem stosunki.

— Wszak każde wakacye przepędzałeś pan tu w Górze?

— Tak.

— A zatem poznałeś wtedy tego i owego ze swych kuzynów. Ja pamiętam, że często tu przyjeżdżali do pańskiego stryja.

— Stryj, jak pani wiadomo, unikał ze wszystkimi stosunków, nawet z swymi braćmi i siostrami, czemu ja się wcale nie dziwię, ludzie wogóle nie są bardzo zajmujący.

Znowu zapanowało milczenie między dwojgiem młodych ludzi, dopiero po niejakim czasie panna zapytała:

— Iluż tedy pański stryj miał braci i sióstr?

— Czy to panią interesuje?

— Gdyby mnie to nie interesowało, nie pytałabym.

Westchnął i z wyrazem zabawnej rezygnacyi zaczął mówić:

— Stryj miał trzech braci i tyleż sióstr. Mój ojciec Andrzej Kozłowski nie żyje i zostawił mnie, jedynego syna; po nim szedł Zygmunt, który był



Pedasz — pytał Orczykiewicz — co tam jest nieboszczyk?

na emigracyi, wrócił do kraju za amnestyą w r. 1860 i podobno umarł, ożeniwszy się wprzódy w Warszawie. Z kim, nie wiem, jak również nie wiem, czy miał potomstwo. Czwarty, pan Józef, gdzieś się zaprzepaścił na Litwie czy w Rosyi i nie mam o nich żadnych wiadomości. Stryj Teodor, właściciel Gór, który mnie wychował, jak pani wiadomo, nie zostawił żadnego potomstwa.

— Tak pan myślisz?

— Nie tylko myślę, ale jestem pewny.

— To się okaże.

Pan Stanisław spojrzał zdziwionym wzrokiem na pannę, która ciągnęła dalej:

— Ale o tem potem. A cóż się stało z siostrami pana Teodora Kozłowskiego.

— Oprócz ciotki Filomeny, która żyje i jest zamężna za kupcem panem Millerem w Warszawie, żadnej innej nie znałem. Ciotka Karolina była za jakimś urzędnikiem w Warszawie... zdaje mi się, że się nazywał Jasiński, ale też nie żyje. Zostawiła podobno syna. Trzecia ciotka, Antonina, wyszła za mąż do Lwowa, także urzędnika, pana Wiśniewskiego i również nie żyje. Czy zostawiła dzieci, nie wiem. Ma pani zatem cały nasz rodowód. Nieciekawy, co prawda.

— Więc wszyscy ci pańscy kuzyni w linii męskiej i żeńskiej mają tu zjechać na dzień 15 lipca?

— Taka była wola stryja Teodora, wyraźnie wypisana w kodycylu do testamentu.

— Więc zjadą?

— Czy zjadą, nie wiem. Rejent, u którego jest testament wdowy, porobił w pismach krajowych i zagranicznych obwieszczenia, wzywające wszystkich krewnych stryja, by się zjechali do Gór na 15 lipca, w celu wysłuchania woli nieboszczyka.

— Zapewne pański stryj porobił dla każdego z krewnych zapisy?

— Nie wiem.

— A panu zapisał co?

— Skądże mam wiedzieć, kiedy nie znam testamentu?

— O! to łatwo się domyśleć. Pan byłeś jego ulubieńcem, wychowywał pana. Pewien jestem, że panu zapisał Góry.

Młody człowiek spojrzał na mówiącą i rzekł po chwilowem milczeniu:

— Nie wiem, ale gdyby tak było, nie ucieszyłoby mnie to wcale. Nie mam zamiaru zakopywać się na wsi, sadzić kapustę i użerać się z chłopami.

— Ba! ziemia jest zawsze ziemią, a pieniądz pieniądzem. Możesz pan Góry sprzedać.

— Zapewne, tylko trzeba je wprzód mieć.

Panna z wdzięcznym ruchem podniosła w górę obie ręce dla poprawienia bujnych, czarnych włosów, przyczem opadły szerokie rękawy staników i ukazały się nagie po łokcie ręce, utoczone, jędrne i białe, jakby wykute z kararyjskiego marmuru, a pierś uwydatniła się plastycznie i rzekła z uśmiechem:

— Jak pan myślisz, panie Stanisławie, czy stryj pański zrobił jaki zapis dla mnie i dla mamy?

Pan Stanisław, który dotąd z widoczną niechęcią i widoczniejszem zmuszaniem się odpowiadał na pytania panny, nie patrzył na nią i błądził wciąż oczami po drzewach ogrodu, nagle teraz zwrócił się do niej z wyraźnem zaciekawieniem i przez chwilę obserwował jej ładne ręce i pierś, bijącą pod czerwoną bluzką, poczem rzekł z pewnem zakłopotaniem:

— Doprawdy, panno Anielo... dziwne pytanie. Nie wiem, co na nie odpowiedzieć...

— To znaczy... że chcesz pan zapytać, z jakiego tytułu ja i mama moja możemy mieć pretensye do zapisu. Czy nie tak?

— No... skoro pani chcesz... to tak.

— Otóż ja panu odpowiem, że taki tytuł istnieje.

— Hm! szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciw temu, żeby stryj zrobił jeszcze jakiś zapis, ale tytułu prawnego w żaden sposób dopatrzeć się nie mogę.

— Nie możesz pan się dopatrzeć? teraz ja panu powiem, że to dziwne. Pana przecież wychowywał pan Teodor Kozłowski i wiesz dobrze, co się tu w Górach działo. Pan tylko udajesz, że nie wiesz...

— Słowo pani daję, że nie wiem, o czem pani chce mówić.

— Tak? Więc pan może nie wie, że ja jestem córką pana Teodora Kozłowskiego, coprawda z nieprawego łoża...

Wyrzekła to, zarumieniła się lekko, ale swych dużych, czarnych oczu nie spuściła, owszem wyzywająco patrzyła w twarz młodzieńca. Ten był zdumiony, na jego obojętnem i znudzonem obliczu wyraziło się takie zabawne zdziwienie, że panna Aniela głośno się roześmiała.

— I pani to mówisz, panno Anielo? — wyrzekł nakoniec Stanisław.

— A dlaczegóżby nie? Pan może chciałbyś, żebym tak, jak dawniejsze panny, raczka piekła, oczki spuszczała, rączki w małdrzyk trzymała, udawała nieświadomość, gdy jest mowa o stosunkach płciowych...

— Jezus, Marya! — zawołał Stanisław, chwytając się komicznym ruchem za głowę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowa rada miejska we Lwowie.

Wybrana w ostatnim dniu lutego b. r. nowa Rada miejska we Lwowie, zebrała się w ubiegłym tygodniu na swe pierwsze uroczyste posiedzenie. Chorągwie o barwach miejskich, powiewające w tym dniu ze szczytu ratuszowej wieży, oznajmiły całej stolicy o tym doniosłym w jej życiu fakcie.

Wcześnie rano, bo około wpół do 9 tej, zebrali się członkowie nowej Rady odświętnie ubrani w gmachu ratuszowym, a następnie gremialnie udali się do kościoła archikatedralnego, celem wysłuchania mszy świętej, odprawionej przez proboszcza katedralnego, aby zgodnie z tradycyą w skupieniu i z Bogiem rozpocząć nowy okres pracy dla dobra miasta.



Nowa rada miejska we Lwowie: Prezydent Ciuchciński z r. dr. Dylewskim.



Nowa rada miejska we Lwowie: Radni Włodzimirski, prof. dr. Dziwiński i dyr. B. Lewicki.

Po mszy powrócili radni do ratusza. W sali obrad przywitał ich prezydent Ciuchciński, otwierając posiedzenie. W przemówieniu swem wezwał członków Rady, by przejęli się obowiązkami, jakie ich czekają i by mieli zawsze na oku dobro stolicy kraju. Wskazał dalej na dwa kierunki pracy, jaka czeka nową Radę miejską: utrwalić to, co dotąd uzyskane, uzyskać nadto to, co dla dalszego rozwoju miasta konieczne. Zalecił również w przemówieniu przestrzeganie ścisłe zasad oszczędności w wydatkach, wstrzemięźliwość w żądaniach, a za to surowość w kontroli. Po tem przemówieniu przedstawił prezydent Radzie gremium magistratu, poczem dokonano wyboru komisyi dla sprawdzenia wyborów i na tem pierwsze posiedzenie zamknięto.

Rada miejska we Lwowie, która obecnie rozpoczęła okres swych rządów w stolicy kraju, ma przed sobą szereg zadań bardzo doniosłych. Wobec zaś walnego zwycięstwa, odniesionego przy tegorocznych wyborach przez tzw. blok stronnictw narodowych, do którego należało mieszczaństwo i demokracya narodowa, te dwa stronnictwa przyjęły na siebie odpowiedzialność za dalszy rozwój i dalszą gospodarkę miasta. One też podzielą między siebie godności prezydyalne, do czego niezadługo będzie sposobność przy wyborze prezydenta i II i III wiceprezydenta. Prezydentem ma zostać — jak ogólnie głoszą — radny Józef Neuman, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli mieszczaństwa, wieloletni i zasłużony członek Rady miejskiej.

Tragiczny wypadek.

Nieostrożne obchodzenie się z bronią palną było już tyle razy przyczyną bardzo tragicznych wypadków, że istotnie pojąć trudno, dlaczego ludzie, nawet poważni i stateczni, nie potrafią się oduczyć manewrowania z rewolwerami czy pistoletami w obecności innych osób, dlaczego pozwalają sobie na żarty całkiem niestosowne, których następstwem może być kalectwo a nawet śmierć drugiej osoby.

Przed paru dniami znowu wydarzył się wypadek nieostrożności z bronią, w Warszawie, w głównem biurze telegrafu tamtejszego, wypadek tem tragiczniejszy, iż ofiarą padło życie człowieka wybitnego, cenionego powszechnie z powodu wielkich zalet serca i umysłu.

Wedle informacyi, nadesłanych z Warszawy, wypadek miał przebieg następujący. W biurze telegrafu przy ul. Kotzebue oglądał jeden z urzędników rewolwer. Po wyjęciu kul, w przekonaniu, iż w żadnym otworze niema już naboju, skierował rewolwer ku Wojciechowi Mączewskiemu, zwierzchnikowi jednej z czterech zmian urzędników głównego biura telegrafu. Niespodziewanie rewolwer wypalił a Mączewski padł ciężko ranny na ziemię. Przewieziono go natychmiast do szpitala św. Ducha; mimo jednak niezwłocznej operacyi, mimo bardzo gorliwej opieki lekarskiej, Mączewski zmarł po kilku godzinach wśród ciężkich mąk.

Ś. p. Mączewski zajmował się po za urzędem bardzo gorliwie nauką przyrodniczą, w szczególności zoologią. Studyom w tym kierunku poświęcał każdą wolną chwilę a uwieńczeniem ich był wspaniały, ogromnie cenny zbiór owadów, składający się z kilkudziesięciu tysięcy okazów. Zbiór ten był ogółowi mało znany, jak wogóle naukowa działalność Mączewskiego, wiedziały o niej natomiast sfery naukowe, wiedziała Akademia Umiejętności w Krakowie, która w uznaniu zasług dzielnego przyrodnika, zamianowała go przed paru laty członkiem-korespondentem.

To też zgon przedwczesny a tak tragiczny ś. p. Mączewskiego stanowi stratę dla nauki polskiej poważną, okrył też żałobą prócz licznej rodziny, cały świat naukowy polski.

Rydwan tryumfalny Sobieskiego.

Smutny jest los pamiątek historycznych narodu, który utracił byt polityczny. Część ich ginie zwykle bez wieści, część dostaje się w ręce niepowołane, a wiele tuła się po wszystkich możliwych krajach, tuła się po lombardach, po sklepach antykwaryuszów.

To też dość często zdarza się, że Polak odkryje na obczyźnie zabytek pierwszorzędny z przeszłości swej ojczyzny. Czasem zaś dowiadujemy się o istnieniu takich przedmiotów dopiero ze wzmianek obcych pism, które zwracają nam uwagę na istnienie jakiejś



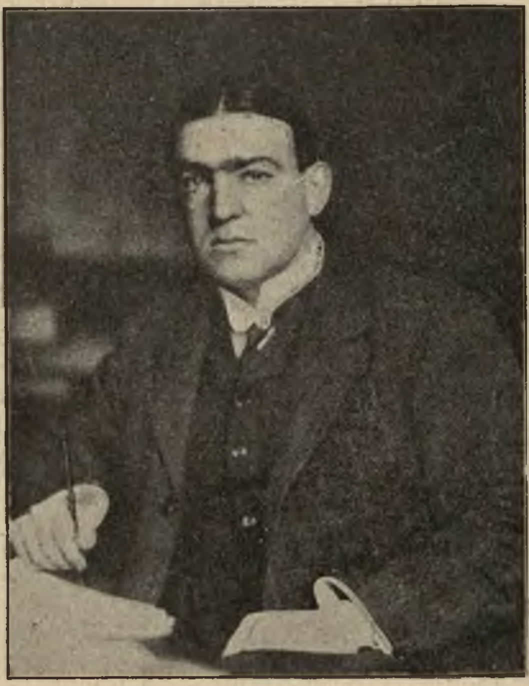
Nowa rada miejska we Lwowie: Radni dyr. Terenkoczy i Rybicki, za nimi Sklepiński i dr. Pieracki, dalej Rawski i Riedl.



Nowa rada miejska we Lwowie: Radni dr. Piasecki, dr. Przygodzki i dr. Janik. (Fot. M. Münz, Lwów).

narodowej pamiątki naszej w zapadłej mieścinie niemieckiej lub francuskiej.

W ten sposób wpadliśmy niedawno na ślad rydwanu tryumfalnego króla Jana III, który ofiarowali mu wdzięczni Wiedeńczycy, po odparciu Turków od naddunajskiego grodu. Sobieski rzeczywiście użył rydwanu przy uroczystym wjeździe do Wiednia, a później używał go niejednokrotnie. Atoli wkrótce



Z ekspedycyi do bieguna południowego: Sir Ernest H. Shakleton.

po śmierci pogromcy Turków dostał się wóz w ręce najemnych żołdaków Augusta Mocnego, którzy sprzedali go jako zdobycz wojenną pewnemu czeskiemu klasztorowi. Tam przeleżał aż do czasów wojny siedmioletniej. Wówczas odnalazł go kwaterujący w tych stronach pruski generał v. Kleist, który zabrał cenną pamiątkę, kazał ją odczyścić i postanowił ofiarować na cele kościelne. W ten sposób przeszedł rydwan króla Jana w posiadanie kościółka w pomorskiej wiosce Raddaty. Proboszcz tamtejszy kazał go rozebrać i części jego poszczególnych użyć na zbudowanie ambony. Do dziś dnia oglądać można tę ciekawą kazalnicę, która przedstawia się wspaniale, dzięki bardzo pięknym obrazom, jakimi wóz tryumfalny był przyozdobiony. Pudło jego obrócono na daszek nad kazalnicą. Na bardzo widocznem miejscu umieszczono na niej złotemi literami wypisaną historyę tego zabytku.

Z ekspedycyi do bieguna południowego.

Zbadanie południowych okolic podbiegunowych postępuje szybko naprzód. Najbardziej zasłużył się w tej sprawie porucznik Shakleton, który odkrył biegun magnetyczny. Pozostaje jeszcze dotarcie do bieguna geograficznego, które obrały sobie za cel dwie wyprawy naukowe. Kierownikiem jednej jest kapitan Scott, drugą dowodzi kapitan Amundsen.

Na ekspedycyę Scotta zwróciła w tych dniach uwagę polemika między Shakletonem a dwoma uczonymi angielskimi. Mianowicie sir Ernest Shakleton, który, jak wiadomo, nagrodzony został tytułem baroneta za swe odkrycia, ogłosił odezwę wzywającą do składek na wyprawę antarktyczną swego starego towarzysza dr. Douglasa Mawsona. Dr. Mawson chce zbadać nieznane wybrzeża australskie, położone o 1200 mil angielskich od celu wyprawy Scotta i sporządzić ich mapę. Na doprowadzenie do skutku przedsięwzięcia potrzebuje 12.000 funtów szterlingów i jeżeli pieniądze te uda się zebrać, ma wyruszyć w czerwcu.

W odpowiedzi ogłosili sir Edgar Speyer i sir Clements Markham list otwarty, w którym zwrócili uwagę na ekspedycyę kapitana Scotta, którego zasługi na polu badań polarnych okolic dają gwarancyę, że poparty przez ofiarność publiczną, nie zawiedzie oczekiwań i dokona dzieła tak ważnego dla nauki, jakiem jest odkrycie południowego bieguna geograficznego. Z tego względu nie uważają autorzy listu za wskazane, ażeby zbierać składki na jakiekolwiek nowe wyprawy, zanim umożliwi się Scottowi uwieńczenia swych usiłowań pomyślnym skutkiem. Przemawiają również do ambicyi narodowej, gdyż Scottowi idzie o to, ażeby pierwszym człowiekiem, który postawi stopę na biegunie, był Anglik.

Sir Ernest nie pozostał dłużnym odpowiedzi, lecz zaznaczył, że cel wyprawy Mawsona jest równie ważny, że niema mowy o jakiejś rywalizacyi



Nowy dramat historyczny: Ks. proboszcz D. Bączkowski, autor dramatu p. t. „Bolesław Śmiały".

pomiędzy nim a Scottem i zakończył słowami: „Obecnie bardzo wiele ekspedycyi jest w polu, a nowem zupełnie prawem byłoby uznanie, że nie można wspierać żadnej nowej brytyjskiej ekspedycyi, zanim powrócą te, które obecnie działają".



Nowy dramat historyczny: Scena z dramatu ks. Bączkowskiego p. t.: „Bolesław Śmiały", wystawionego w Berdyczowie.

Załączamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające kapitana Scotta w stroju używanym przez badaczów



Z ekspedycyi do bieguna południowego: Kapitan Robert Fulton Scott.

okolic podbiegunowych w chwili, gdy ma wyruszyć celem założenia magazynu zapasów i materyałów, potrzebnego mu w drodze powrotnej. W głębi widać potężny wulkan Erebus (3.900 m.), na którego szczyt zdołał dotrzeć Scott w jednej ze swych dawniejszych wypraw w r. 1902.

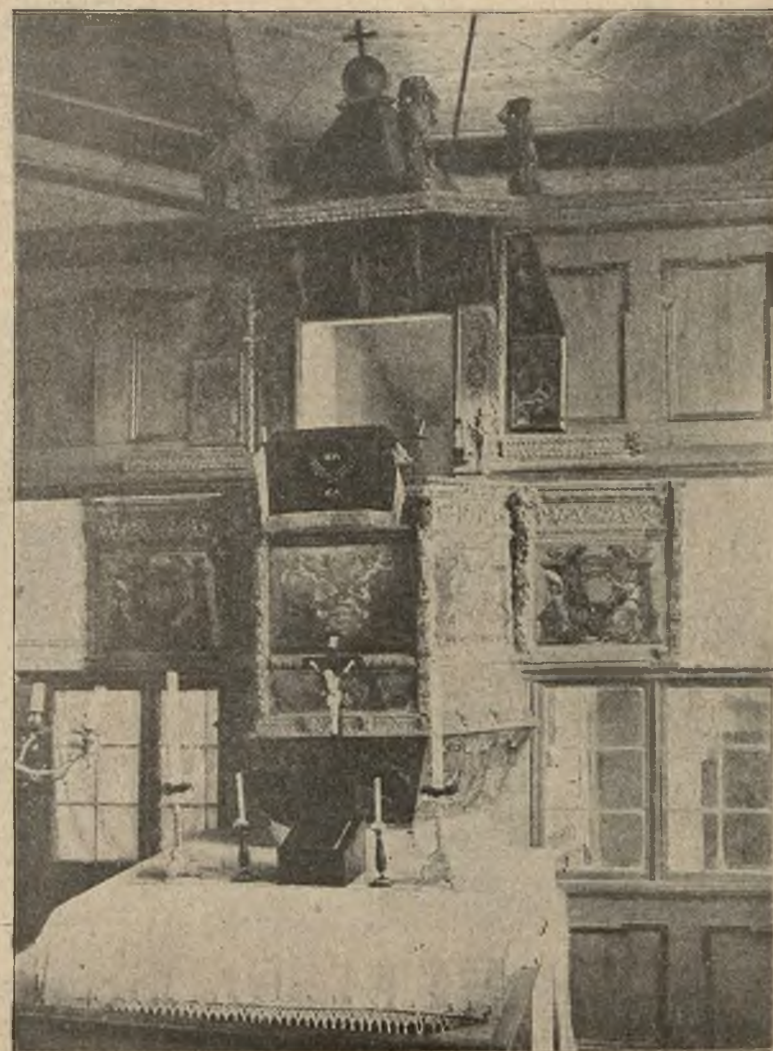
Podajemy również fotografię sir Ernesta Shakletona, który odkrył biegun magnetyczny w czasie swej wyprawy r. 1907—1909 i portret kapitana R. F. Scotta.

Nowy dramat historyczny.

Pamiętny w dziejach narodu naszego zatarg między królem Bolesławem Smiałym a ówczesnym biskupem krakowskim Stanisławem Szczepanowskim, zatarg rozwiązany bardzo tragicznie, bo męczeńską śmiercią biskupa, stanowi bardzo dobry i dla autorów ponętny temat. Opracowywano go też niejednokrotnie w literaturze naszej, zarówno powieściowej jak dramatycznej. Ostatnio osnuł na tle tego zatargu swój dramat p. t. „Bolesław Śmiały" Stanisław Wyspiański.

Oczywista rzecz, że literackie opracowania wspomnianego epizodu naszej historyi, odbiegają często bardzo daleko od prawdy historycznej. Dla powieści, czy dla dramatu są zawsze odpowiedniejsze legendy, apoteozujące najczęściej osoby historyczne, niż zimna rzeczywistość, niż ścisłość historyczna. Tak się też stało ze sprawą zatargu między królem Bolesławem a biskupem krakowskim.

Podobne stanowisko zajął ostatni autor, który za temat dramatu wziął ten pamiętny wypadek, mianowicie ks. D. Bączkowski, proboszcz kościoła pokarmelitańskiego w Berdyczowie. Dramat historyczny jego, p. t. „Bolesław Smiały", opiera się na kronikach Kremera i Długosza, oraz żywotach świętych wydania Bullandystów, a więc na źródłach, które z wynikami ostatnich badań historycznych, odnośnie do tej sprawy, stoją przeważnie w sprzeczności. Mimo to etyczna wartość utworu ks. Bączkowskiego jest bardzo duża. Broniąc stanowiska biskupa Szczepanowskiego w jego zatargu z królem, nie kończy dramatu tragicznym momentem zabójstwa



Rydwan tryumfalny króla Sobieskiego: Szczątki karety Jana III. Sobieskiego, zamienione na kazalnicę w kościółku w Raddatach na Pomorzu.

św. Stanisława, lecz w ostatnim akcie zajmuje się dalszymi losami nieszczęśliwego króla-wygnańca i przedstawia jego pokutę, dzięki czemu postać króla zyskuje sympatyę widzów i czytelników nawet najgoręcej wierzących w legendy o św. Stanisławie.

Dramat ten obejmuje swą akcyą czas od 1076 do 1082 r., rozgrywa się zaś częścią w Krakowie, częścią w lasach Karyntyi, obok klasztoru w Ossyaku, gdzie dzielny nasz król zmarł na wygnaniu.

Utwór ks. Bączkowskiego, wystawiony amatorskiemi siłami w teatrze w Berdyczowie, zyskał ogólne uznanie, do czego przyczyniła się w znacznej mierze bardzo dobra gra amatorów. Grupę ich w pięknych kostyumach przedstawia nasze zdjęcie, obok którego zamieszczamy portret autora.



Z ekspedycyi do bieguna południowego: Kapitan R. Scott w okolicy podbiegunowej.

Międzynarodowa wystawa hygieniczna w Dreźnie.

Hygiena stała się w ostatnich trzydziestu latach jednym z najważniejszych czynników w życiu i rozwoju ludzkim. Zwalczanie epidemii, opieka nad ma-



Ze świata dyplomatycznego: Stefan Ugron-Abransalva, nowy poseł austro-węgierski w Belgradzie.

tkami i niemowlętami, zapobieganie alkoholizmowi i gruźlicy, hygiena mieszkań, szkół i środków spożywczych, to dziś kwestye, zajmujące ogół zdrowo

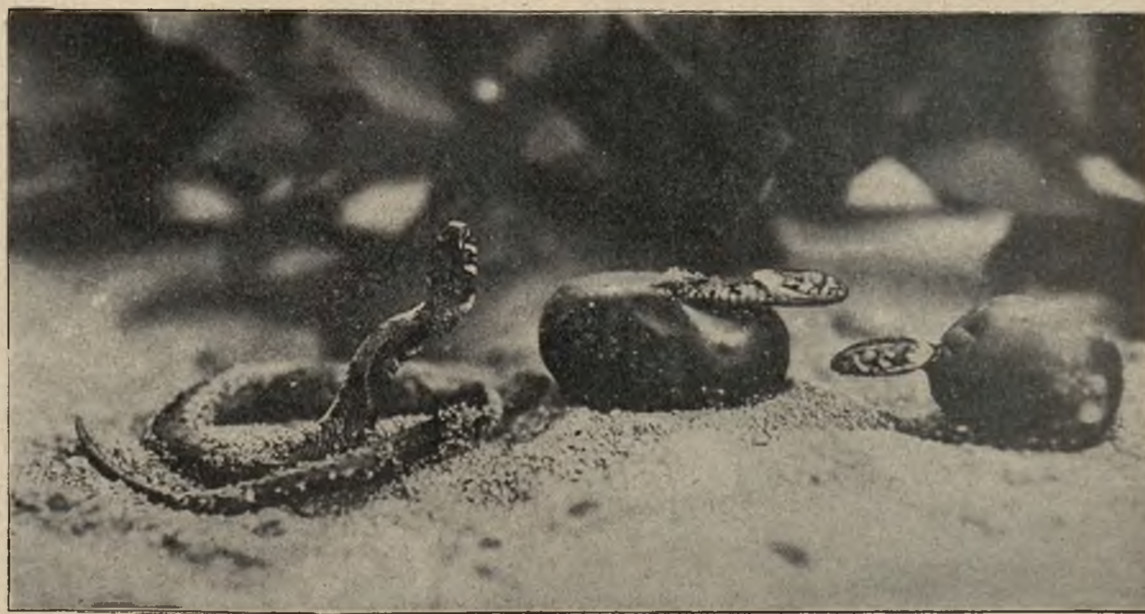
myślący, a stanowiące najmłodszą i kto wie, czy nie najważniejszą z umiejętności lekarskich.

Powyższe sprawy, aż do chwili wystąpienia profesora Pettenkofera z Monachium, lekceważone przez ogół, stały się z czasem kwestyami pierwszorzędnej wagi i doczekały umiejętnego traktowania, a pierwsza ogólna wystawa hygieniczna, urządzona w Berlinie w r. 1883, wykazała już ogromny postęp na tem polu, wzmagający się z dnia na dzień i obejmujący coraz szersze horyzonty. Dziś wie i małe dziecko, co znaczy wyraz „hygiena“, zajęło się nią i prawodawstwo, wydając cały szereg zarządzeń, mających na celu normalny rozwój i zabezpieczenie zdrowia setek milionów, zapoznających nieraz swe najżywotniejsze sprawy. W walce z dżumą, cholerą i śpiączką nabrała ona międzynarodowego znaczenia, a wszystkie kulturalne państwa starają się wyprzedzić na tem polu i zaprowadzają u siebie coraz postępowsze urządzenia, mające na celu ochronę największego skarbu ludzkości — zdrowia.

Przeglądem tych usiłowań jest właśnie otwarta w dniu 6 maja b. r. w Dreźnie międzynarodowa wystawa hygieniczna, obejmująca wszystko, co na tem polu zdziałano. Prace przygotowawcze pod kierunkiem tajnego radcy komercyalnego Karola Augusta Lingnera i prezydenta saskiego kolegium lekarskiego, profesora dra Renka, trwały ponad cztery lata. Dzięki ich pracy i staraniom, oraz poparciu króla Fryderyka Augusta, który objąwszy protektorat, przeznaczył na cele wystawy najpiękniejszą część słynnego królewskiego ogrodu, przedstawia się ona nad wyraz wspaniale i imponująco.



Gościna znakomitego aktora: Kazimierz Kamiński.



Niezwykła fotografia: Zdjęcie fotograficzne, przedstawiające młode węże w chwili wykluwania się z jaj.

Na przestrzeni 325.000 metrów kwadratowych, powstał cały szereg artystycznie wykonanych pawilonów, zajmujących okrągło 80.000 m², koszt zaś ich budowy przekracza dwa i pół miliona marek.

Całość, podzielona na dwanaście oddziałów głównych i czterdzieści cztery podrzędnych, obejmuje wszystkie grupy nowoczesnej hygieny w związku z tem, co na tem polu zdziałano w przemyśle i uzmysławia pod względem naukowym i praktycznym rozwój tej tak ważnej umiejętności nowoczesnej, nie zapominając i o jej historycznej części, ku czemu służy osobny oddział, zawierający hygieniczne urządzenia ludów starożytnych, głównie Greków, Rzymian i Izraelitów.

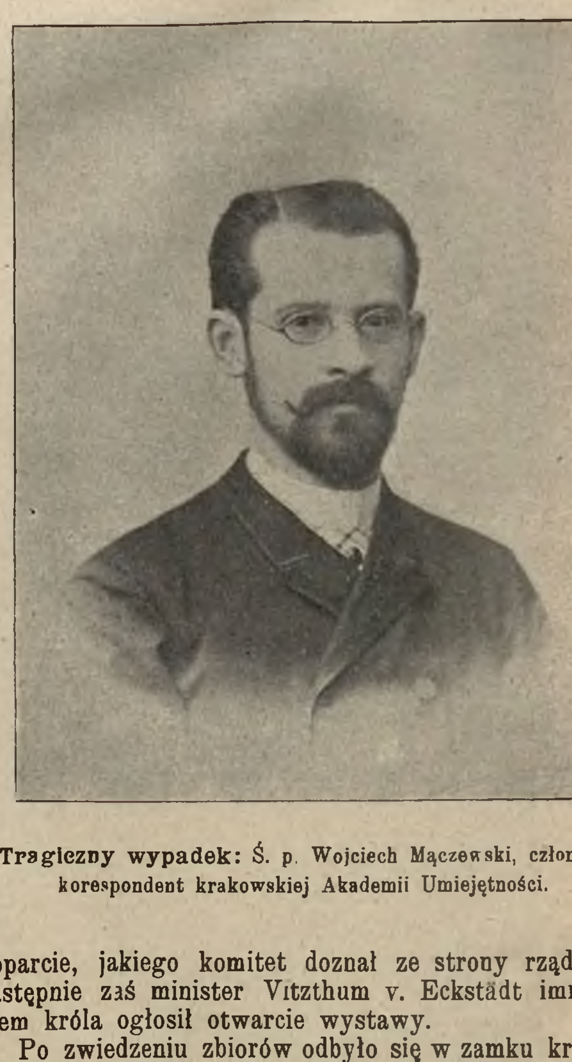
W wielkiem przedsięwzięciu wzięły także udział i inne państwa światowe, a pawilony ich, zbudowane we właściwym każdemu stylu, stanowią malowniczą „ulicę narodów“, umieszczoną w alei Herkulesa, należącej do ogrodu królewskiego. Rozpoczyna pawilon węgierski, następują: angielski, chiński, austryacki, rosyjski, japoński, szwajcarski, brazylijski i hiszpański, kończy zaś francuski. Rzeczpospolita, uznając doniosłość hygieny, po raz pierwszy od lat czterdziestu, wzięła oficyalny udział w wystawie, urządzonej przez Niemców i na niemieckiem terytoryum.

Uroczyste otwarcie nastąpiło w obecności króla saskiego Fryderyka Augusta i książąt Jana Jerzego i Matyldy. Króla powitał przemową prezydent wystawy, tajny radca komercyalny Lingner i podziękował mu za przyjęcie protektoratu oraz wybitne poparcie, jakiego komitet doznał ze strony rządu, następnie zaś minister Vitzthum v. Eckstädt imieniem króla ogłosił otwarcie wystawy.

Po zwiedzeniu zbiorów odbyło się w zamku królewskim śniadanie, wieczorem w sali pałacu wystawowego galowy obiad.



Wystawa hygieniczna w Dreźnie: Komitet wystawy z prezydentem tajnym radcą komercyalnym K. Lingnerem (X) w pośrodku.



Tragiczny wypadek: Ś. p. Wojciech Mączewski, członek-korespondent krakowskiej Akademii Umiejętności.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

29

— Właściwie miałem zaszczyt niejednokrotnie widywać pułkownika.

— Nie przypominam sobie.

— A ja znakomicie — odrzekł drwiąco Gendre — my tu na Zamku wogóle cieszymy się dobrą pamięcią — zaczem, podając ramię kapitanowej, ozwał się z naciskiem: Pani Bażanow wygląda pani z upragnieniem...

Kapitanowa poruszyła się, spojrzała ku Bemowi i odeszła z Gendrem.

Stało się zaś to tak szybko, że zanim pułkownik zdołał rzec słowo — i Gendre i kapitanowa znikli w mrokach tarasu. Fanshawe zaśmiał się jowialnie.

— Hu-hu! A ot i zabrał nam damę! Śliczna osoba! Ale cóż i tak na ćwika zaraz nam zabębnią!

Bem usiłował opanować rozdrażnienie, którem go napełniło odejście pani Marchockiej.

— Na ćwika?

— Po capstrzyku taras zamykają! *Impossible de se plaindre!* I tak są bardzo grzeczni. Może i pułkownik się do nas przyłączy? Ostrzegam jednak z góry, że Dyakow oszukuje! — O już bębnią.

— Nie będę korzystał z uprzejmego zaproszenia.

— Pułkownik wraca! Zazdroszczę panu szczerze. Lecz już nie długo, nie długo.

— Czy szambelan nie mógłby mi wskazać wyjścia?

— Ja, pułkowniku? — Hu hu! Gdybym je znał, *ma foi*, nie pokutowałbym tu tyle miesięcy! Żart na stronę, proszę tędy i na prawo. Za drugą salą jest galerya a w głębi niej warta poczciwych cerberów.

— Dziękuję szambelanowi. Chociaż wypadałoby mi pożegnać kapitanową.

— Zdaje mi się, że damy już udały się do swoich sypialni. Gendre rozmawia z Essakowem, niechybny znak. Ale, naturalnie, do pana nie mogą stosować klauzuli!

Bem skłonił się zimno Fanshawe'owi i skierował ku wyjściu.

Dwaj żołnierze atoli, trzymający wartę, miast nadchodzącego pułkownika uhonorować sprezentowaniem broni, skrzyżowali przed nim bagnety.

— Niema przechodu! — mruknął starszy z żołnierzy.

Bem w lot się pomiarkował.

— Kto tu dowodzi?

— Niema przechodu — rozkaz!

— Głupi acan jesteś! Bierzesz mnie za więźnia!

— Nikt stąd ani kroku!

— Gdzie twój oficer!?

— Tam, gdzie się należy!

— Wołaj go do kroćset!

Żołnierze mocniej się zwarli. Lecz obocześnie za ich plecami łysnęła blacha oficerskiej czapy.

— Co to — kto!? — ozwał się młody, energiczny głos.

— Pan tu dowodzisz posterunkiem?

— Tak jest! — odrzekł barczysty oficer, wysuwając się z lekkim ukłonem przed szyldwachów.

— Jestem Bem!

— Porucznik Silnicki, do usług.

— Rozkaż więc nadewszystko swoim żołnierzom, aby mi wyjścia nie bronili...

— Bardzo żałuję, panie pułkowniku, lecz wyraźne polecenie...

— Słusznie — jeno nie do mnie się stosuje...

— Żadnych nie mam prawa czynić wyjątków!

— Oszalałeś acan!

— Raczy pan pułkownik nie dawać folgi daremnemu uniesieniu!

— Co mi tu porucznik! Bierzesz mnie za aresztowanego!? Melduj mnie do komendanta!

— Komendanta niema.

— Więc któż tu sprawuje jurysdykcyę!?

— Pan sędzia Łanowski, lecz jest nieobecny! Jutro pan pułkownik będzie mógł...

— Jakto, więc śmiesz pan mnie, mnie pułkownika artyleryi!?

— Tak samo jak i generała dywizyi...

— Ależ acana zamroczyło chyba! — Toć ja tu przed dwoma godzinami, dla odwiedzenia kapitanowej Marchockiej! Toć ledwie uporałem się z sędzią, że mnie tu puścił... Był ze mną jakiś kancelista Łanowskiego!

— Wierzę święcie, lecz muszę trzymać się... Pan pułkownik sam nie może nie przyznać...

— Pozwól poruczniku — wszak masz zapewne listę więźniów. Sprawdź, przekonaj się! — tłómaczył Bem, mocując się ze wzburzeniem.

Silnicki zakłopotał się.

— Nie mam listy! I choćbym pragnął, nie mogę. Pan pułkownik uwzględni, pełnię powinność.

— Rozumiem i ona wszakże ma swoje granice! Nie żądam od pana uchybienia rozkazom, jeno naprawienia błędu. Zapomniano cię uprzedzić. Pana nie winię. Lecz, do licha, są tu jacyś dozorcy, stróże, posługacze!!...

— Na rozkazy pana pułkownika! — wmieszał sią z boku jakiś głos.

Bem odwrócił się i ujrzał przed sobą pochyloną służalczo łysą głowę, wystającą z czerwonego kołnierza.

— Acan?

— Woźny trybunalski...

— Aha! Ten najlepiej porucznika objaśni.

Łysa głowa woźnego aż do pasa się schyliła przed Bemem.

— Na rozkazy — właściwie mam honor, że komnata dla pana pułkownika jest już wyszykowana...

XVI.

Tegoż samego wieczora, zaledwie pani Honorata rozpostarła swe furkoczące spódniczki na stołku za szynkwasem, już podcienione jej oczy błyskawicami gniewu trysnęły, bo dostrzegły jednym rzutem i pustkami świecące kąty i butle porozstawiane bezładnie, i piegowatą Stefkę, bobrującą w cukrze i brak na stanowisku swej powiernicy.

— Gdzie Rózia!? — zagadnęła surowo pani Honorata.

Piegowata Stefka wychynęła z ponad szuflady z cukrem.

— Rózia!? W dużym alkierzu! Niby oficyery czy jak! — Panno Róziu! Do pani gospodyni! Hej, panno Róziu!

Pani Honorata zwróciła groźne spojrzenie ku arkadzie, wiodącej do sąsiedniej izby, lecz wzrok jej miast pannę Rózię porazić, dosięgnął sunącego pośpiesznie wuja Olechowskiego.

Właścielka kawiarni szarpnęła się.

— Co wujo — gdzie Rózia!?

— Honoruś, ani dudu. Cały alkierz altyleryi, paje! Rózia, paje, niby z jednym, paje! Trzecia butla maślacza, paje! Graf Iliński, paje! Podporucznikowską epoletę, paje!

— Więc wujo mógłbyś tu dawać baczenie.

— I daję, paje! Smarkacze, słabo, paje. Trzaby im, paje, posekundować! Proszą cię do kompanii.

— Ani myślę! Niech idzie Władka.

— Honoruś, kiedy powiadam!

— Co znów wujo!

— Iliński!

— Wielka mi osoba!

— Pszyt! Ani dudu! Twego pragnę. Panicz!

— Niech będzie. Grać będą?

— Iii!

— Więc nie pójdę.

Wuj Olechowski otarł kraciastą chustą pot z czoła.

— Gubisz się.

— Wiem, co robię.

— Gurowski znów ci wziął...

— A wujowi do tego zasię! Nie wujowe brał.

— Czterech kamratów pije z nim borgiem. Szukaj wiatra...

— Znajdę go.

— Majister, panie, sam powiadał.

— Z rankoru, że mu się urwało.

Olechowski stęknął żałośnie.

— Honoruś!

— Dość chyba.

— Z serca, paje, radzę. Znów byli od Dobrycza. Gości licho. Miał niby stręczyć Gurowski...

— Co wujo do niego. Powiedziałam!

— Prawda Honoruś. Ja to wiem. Na teatrze nawet teraz śpiewają — serce nie sługa! — Ale czasy, paje. Niech się rewolucya zrobi — niech zaczną rznąć, paje, magnatów, panów, grafów...

— No to Gurowski zostanie prezesem rządu!

— Honoruś! — stęknął z wyrzutem Olechowski.

Pani Honorata oczy nań postawiła.

— Co, wolałby wujo, żebym jego usłuchała i na Zamku ze szpiegami już była? Psu na budę z wujowem rajeniem!

Olechowski prychnął, lecz słowa nie rzekłszy, podreptał ociężale do dużego alkierza, kędy rozochocona gromadka artylerzystów raczyła się maślaczem pod wodzą podporucznika a ognistem spojrzeniem pyzatej Rózi.

Alkierz, na widok Olechowskiego, zahuczał okrzykami:

— I cóż! — Jakże!? — Gdzież Honoratka? Gdzież babska kompania!?

— Cierpliwości panowie! Duchem, aby krzynkę!

— Łże, bazyliszek!

— Za drzwi go!

— Huzia! Na ostre przez metal!

— Rykoszetem go zatulać!

— Moćpanowie! — wrzasnął żałośnie Olechowski, uchodząc przed wyciągniętemi doń kiściami rąk. — Będzie, parol szlachecki!

Lecz w tejże chwili na progu alkierza stanęła panna Władka. Napastujący ku niej się zwrócili:

— Wiwat! — Zdrowie panny! Dawać ją! — Kruczkowski, aby się nie przypinaj! — Niech przy Surmackim siada!! Tak, przy Surmackim!

Surmacki atoli, któremu *vox populi* bogdankę ferował, dźwignął barami i oburknął się gniewnie.

— Nie trza mi sąsiedztwa. Niech sobie Radoński do niej stroi!

— Patrzcie — zażartował podporucznik — nasz Surmacki ma rankor do niewiast!

— Nie do niewiast, aby do trznadlów, ogryzków. Toć w narącze niema co wziąć!

— Awansował na ogniomistrza i zakochał się w armacie!

— Cha — cha! — Doskonale Zarzycki! — To cię ściął!

— Trzaby świeżej buteleczki, panie grafie! — nastręczył się podporucznikowi Olechowski, który był, korzystając ze zgiełku wlał resztę do swego kubka.

— Dawaj jegomość, co trzeba!

— Nie pytaj!

— Chcem słodkiej wódki i biszkoptów! — naparła się panna Władka.

— A ja szampana! — pisnęła wybredniejsza panna Rózia.

— Ot nam powiedziała! — podchwycił z fantazyą podporucznik. — Hej, stary, wszystkim szampana!

— Wiwat!

Zapowiedź tak sutego poczęstunku wzmogła ochotę artylerzystów. W dumę wbiła kawiarniane panny, wywołała radosny popłoch za szynkwasem a wreszcie strzeliła korkami.

— Za podporucznikowską epoletę pana grafa! — Niech żyje Iliński! — zagrzmiały głosy.

— Nie przyjmuję! — wykrzyknął zawadyacko podporucznik. I piję za nasze przyjacielstwo, za służbę naszą żołnierską! Epolety mi nie wymawiajcie! Z wami w jednym ogniu na nią pracowałem i z wami na wasze pracować będę! W wasze ręce!

— Ale najpierw my panu grafowi wystukać pomożemy porucznikowski awans!

— Wiwat druga kompania artyleryi gwardyi!

— Wiwat nasz pułkownik!! Wiwat Bem!

— Bem—Bem! — beknął z kąta wuj Olechowski, któremu wino na dobre zaczmerało.

Podoficer Zarzycki ściągnął brwi i napomniał ostro.

— Co waćpan tam!

— Akkomoduję się, dobrodzieju! Bem, paje, wiadomo!

— Jakto? — Co?! — zagadnięto natarczywie.

— Oficer, paje! Pod Ostrołęką, paje, harmatami całą armię, paje, zbębnił! A jakże! Znam! I owszem. Pół roku ledwie — kapitan, major, podpułkownik, pułkownik! Tylko cóż, wstydu mi przyczynił! A tak, siostrzanka z pazurami do mnie, bo Bem, paje, zamiast „bum" paje... ani „be" ani „me", paje...

W alkierzu cisza śmiertelna zaległa.

Olechowski rozejrzał się głupkowato i rad z własnego konceptu, dodał ze śmiechem:

— Cha—cha! I nie spisał mi się. Ze szpiegami się wdał i na latarni gotów...

Olechowski nie dokończył, bo naraz sześć strasznych pomruków wyrwało się z piersi uczciwych i sześć ciał runęło nań, zaszamotało nim i rzuciło na stół między butle i szklanki.

— Na ćwierci obwiesia! — Prać szelmę!

— Litości obywatele!

— Ja cię nauczę szelmo zachowania!

— Gwałtu! Ratunku! Jam nie winien! Panowie! Ja nigdy! Gurowski! — To Gurowski! Rety! — jęczał wuj, wijąc się pod zadawanymi mu razami.

Aż Iliński skinął na towarzyszów i Olechowskiego za pierś zatarmosił.

— Co za Gurowski! Gadaj prawdę, całą prawdę.

— Gurowski! On rozpowiadał! W gazecie stało! Nieszczęśliwa moja godzina! Póki życia obywatele...

— Co za Gurowski!? Gdzie?!

— Aby już nie mordujcie! Powiem, oświecony grafie! Niech tchu! Niech zipnę!... Tak! Porucznik gwardyi narodowej, Gurowski! Ewa mu na imię,

to jest Adam!... Oo... moje krzyże! Adam i Ewa! Do siostrzanki mej, do Honoratki, choć przysięgam, mówiłem Bem...

Gdy w alkierzu gorączkowa wszczęła się indagacya, kawiarnia, zaalarmowana przez Rózię i Władkę a bardziej jeszcze przez odgłos piekielnej wrzawy, gotowała się do pośpieszenia z rozejmem i wymiarem sprawiedliwości.

Pani Honorata prawdziwie błogosławiła Opatrzność, że porucznik Gurowski nadszedł był właśnie. I nie dlatego, żeby jej, zaprawionej do rozmaitych wydarzeń, zabrakło rezolucyi, lecz że zawsze z wojskowymi wojskowego trzeba.

Jakoż, dzięki energii pani Honoraty a Gurowskiego przytomności, w jednej chwili nietylko wezwanie poszło na ratusz ale i tuż przed szynkwasem stanęła i czeladź z sąsiedniego warsztatu szewckiego i gapiów gromada i służby regiment i gości, co zadzierzystszych plutonik a nawet jeden milicyant.

Gurowski z panią Honoratą stanęli na czele. Kolumna ruszyła. Ale nim dosięgła arkady, odgradzającej ją od wejścia do alkierza, naprzeciw niej wysypała się gromadka artylerzystów z chwiejącym się bezwładnie Olechowskim pośrodku.

Oddział pani Honoraty zatrzymał się, grodząc sobą wolne przejście. Artylerzyści zawahali się.

— Co to za napaść! — fuknął hardo Gurowski. — Rozbój! Napaść w biały dzień!...

— Za pozwoleniem pana porucznika — bąknął niepewnie Iliński, onieśmielony widokiem oficerskiego munduru.

— I to podporucznik z niższymi stopniami! Aresztuję was! Na odwachu zdacie porachunek!

Artylerzystom miny zrzedły.

Gurowski, ku zachwytowi całego fraucymeru kawiarnianego, ujął się pod boki i gromił bez pardonu.

— Wstyd! Hańba! Mundury poniewieracie! W sześciu na bezbronnego dziada! — Ciąg się jeden z drugim!

Artylerzyści wyprostowali się służbiście.

— Do trybunału za moje! — stęknął Olechowski, wlokąc się z pośród swoich oprawców. — Krzyże mi przetrącili! Zbóje takie...

— Abyś na drugi raz imienia oficerskiego nie kalał! — bąknął Iliński.

Olechowskiego dojęło.

— Nie kalał! Widzicie go, sprawiedliwca! Chciałeś, paje, o Bemie się dowiedzieć, darłeś się do porucznika Gurowskiego — a teraz przed nim dudy w miech...

Ilińskiemu oczy na węgle się rozżarzyły.

— Porucznik — nazywasz się... Gurowski!

— I jestem nim!

— Porucznik, porucznik rozsiewasz wieści, uwłaczające czci pułkownika Bema?!

— Co mi tu pan za pytania stawisz! Awantury jednej...

— Proszę o odpowiedź!

Gurowski wykrzywił się szyderczo.

— Idzie ci o cześć pułkownika! Maszże tu, podporuczniku, gazetkę a w niej relacyę pana Psarskiego... Możesz sobie nad czcią pułkownika Bema na odwachu płakać...

— Coś powiedział!? — warknął Iliński.

Gurowski cofnął się nieznacznie.

— Na ratuszu się rozprawimy!

— Ale z tobą tutaj! — huknął podporucznik i porwał Gurowskiego za epoletę — lecz ten skręcił mu się w ręku, jak węgorz i w ciżbę znurkował, A uczynił to tak błyskawicznie, że zanim artylerzyści zdołali rzucić się za Ilińskim — Gurowski już pod stołami zmrużał.

Ale nie uszedłby, bo przed naporem artylerzystów oddział pani Honoraty prysnął na wsze strony, gdyby nie męstwo właścicielki kawiarni.

Pani Honorata bowiem drogę zatarasowała Ilińskiemu.

— Na Boga! Panowie!

— Bić — zabić! — Niech nie hańbi!...

— Ale cóż on winien! Słyszeliście! W gazecie drukowane! — Wujo!...

— Ustąp acani!

— Nie ustąpię! Ludzie! Niewinny człek! Psarskiego bierzcie, on pisał!

— Psarski!?

— Sprawiedliwie! — ujął się Olechowski, ratując z opressyi siostrzankę. — Psarski, co drukuje „Merkurego“ — tu zaraz, na Kapitulnej!

— Więc prowadź do Psarskiego! — ryknął Surmacki, porywając Olechowskiego za kołnierz.

— Do Psarskiego! — zakomenderował Iliński. — Za mną! Z drogi! Naprzód! Na Kapitulną!

— Na bok fałdy!! Hurra!!

Artylerzyści runęli ku wyjściu i wypadli na ulicę.

W jednej chwili na Miodowej powstał zgiełk, tumult, popłoch. Idący za napastnikami oddział pani Honoraty, skłębił się z gośćmi kawiarni Kościołowskiej, przechodniami i wylegającem zewsząd mrowiem ludzkiem.

Wrzawa zerwała się tak piekielna, że nim oddział pani Honoraty zdołał na jedno ze stu zapytań odpowiedzieć, już grad kamieni zadzwonił po szybach sąsiedniej kamienicy, już zagrzmiały groźne



Niema przechodu — mruknął starszy z żołnierzy.

hasła — „śmierć zdrajcom!“ — „na latarnię! — już starły się pierwsze zawołania, czyli ratusza dobywać, czyli Rząd najpierw powywieszać.

Lecz na szczęście od Senatorskiej ulicy nadbiegł pluton gwardyi narodowej. Ratusz i rząd ocalał natychmiast... ale nie ocalał wzamian ani imć pan Psarski, ani siedziba „Merkurego“. Gdy bowiem gwardziści wodzili się z tłumem, dla dociecenia przyczyny zbiegowiska, Iliński z kamratami, wlokąc Olechowskiego na przewodnika, już izdebki redakcyjne spustoszyli ze szczętem a niefortunnego pisarza zamienili w wyjący z sińców, umorusanego atramentem nagusa.

Aż Iliński ochłonął z pasyi.

— Dosyć ma responsu! Dalej, za mną i do obozu!

— Do obozu! — zakrzyknęli raźno kompani i skoczyli do schodów i schodami do sieni.

Lecz tu powitał ich łysk bagnetów i wycie zajadłe tłumu.

Miodowa ulica już o jedno z całą szła Kapitulną.

— Bij — morduj! — Żywcem nie puszczaj!

Iliński pobladł. Stojący na przedzie plutonik gwardzistów był sam na łasce ciżby.

— Zagałuszą! — stęknął Radoński.

— Barykadować się na górze! — szepnął Kruczkowski.

— Niedoczekanie! — oparł się Zarzycki.

— Walić! — zakonkludował Surmacki.

Iliński wahał się, poglądał niepewnie ku wylotowi sieni. Gdy wtem ponad głowami gotujących się do ataku gwardzistów, wychynął wielki kamień, otarł się o bagnety i wpadł do sieni i załomotał tuż pod nogami Ilińskiego.

Podporucznik jeno oczami łysnął ku towarzyszom.

— Za pałasze! Naprzód! Kupą!

— Wal cywilów! — Huzia na fałdy! — Wiwat Bem! — wrzasnęli artylerzyści i z dobytą bronią rzucili się na plutonik, rozdarli go na skrwawione części, w tłum się werżnęli a pędząc go przed sobą, szli wprost na Podwale.

I tu jeszcze powodzenie sprzyjało zawadyackiej kompanii.

Tłum walił za nimi, ścigał ich kamieniami, lecz zbliżyć się ku nim nie śmiał. Artylerzyści wydostali się cało na plac Zamkowy i już Bednarską ulicą zaczęli debuszować ku mostowi.

Tu jednak za tłumem zadudniły kopyta żandarmeryi. I te niewątpliwie artylerzystów by zmogły, gdyby nie okoliczność, iż dysząca pomstą tłuszcza z własnymi obrońcami wodzić się zaczęła. Żandarmi znów i sunący za nią oddział piechoty rozumieli, że mają przed sobą sprawców zamieszki. Stąd wynikła dywersya, krótka wprawdzie, lecz dostateczna dla kompanii Ilińskiego, aby odsadzić się i obozu dopaść.

Zdążało wprawdzie za artylerzystami kilkunastu mieszczuchów — ale zdaleka. Wreszcie najgorsze minęło. Koszary już było widać i już szyldwach bateryi prężył się u wjazdu na dziedziniec.

Iliński odsapnął z ulgą.

— No, chłopcy, pałasze do pochwy i ani pary z gęby!

— To się wie!

— Ale idą! — mruknął Dzwonkowski, który ariergardę stanowił.

Iliński obejrzał się ku mieszczuchom i chciał konceptem potraktować obawy Dzwonkowskiego, gdy w oddali zamajaczyła mu się, od strony mostu, czarna, zbita, rosnąca w oczach, fala.

— Do koszar, co sił! — zawołał stłumionym głosem podporucznik.

Towarzysze Ilińskiego pojęli komendę i bez słowa znurkowali na dziedziniec i do izb koszarowych zdążali, aby przycupnąć, jakby nic.

Gdy wtem zaskrzeczał ku nim chropowaty głos kapitana Orlikowskiego.

— Stój sam! — co to za gonitwa!? Hę!? Podporucznik baraszkuje za pan brat?! Skąd — co?!

— Niby z ten... kapitanie! — wybełkotał z trudem Iliński.

Orlikowski wpatrzył się pilnie w osłupiałą kompanię.

— Uhuhu! — Mundurki potarmoszone! — Łapki podrapane! — Uuu! — Pan podporucznik. Nowo-upieczony gagatek... taaak...

Ilińskiego ciarki przeszły. Kapitan zaś jeszcze pociągnął głosem i jeszcze naderwane naramienniki zliczył i guzowi na czole Radońskiego się zdziwił — aż warknął z pasyą:

— Coś zbroił jeden z drugim!?

— Przystali...

— Całą prrrawdę!

Iliński, prażony groźnym wzrokiem kapitana, nawet siły nie miał, żeby jakoś łagodniej awanturę sprezentować, ani konceptu, by przecież w lepszem wydać się świetle. Cała chryja kamieniem brzdęknęła.

Orlikowski aż głowę między ramiona wtulił.

— Uhuhu! Taki pan podporucznik! Takie, panie dziu, podoficery!... Takie uczczenie epolety...

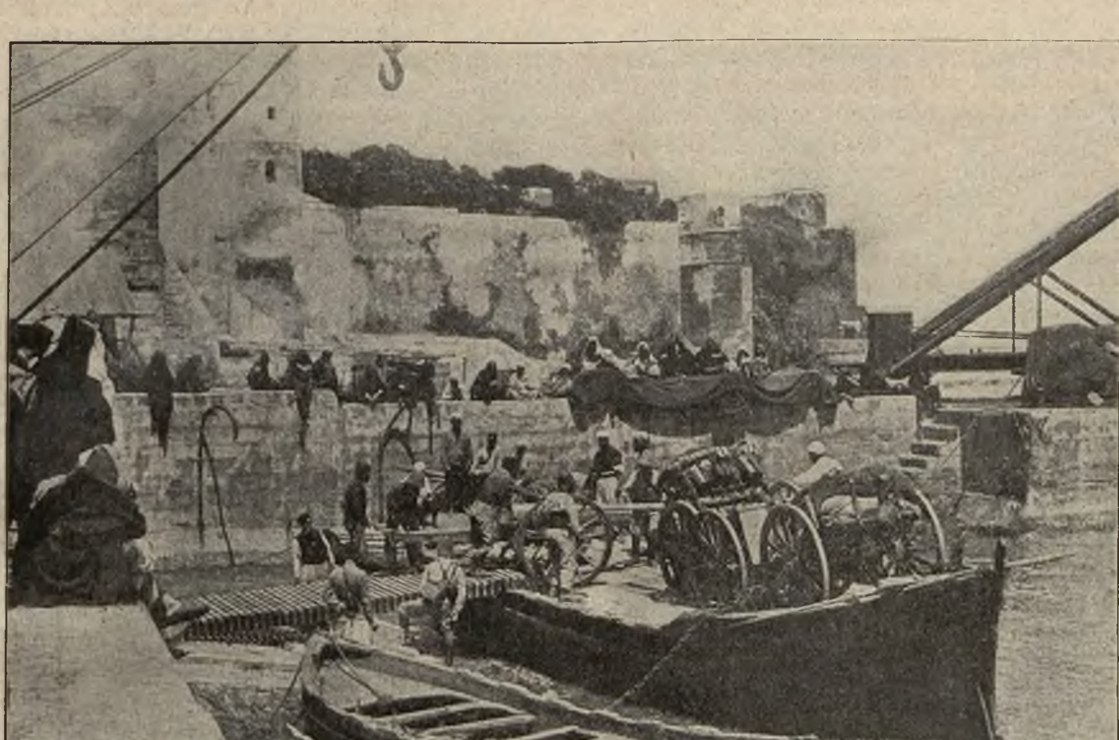
— Kiedy naszemu pułkownikowi!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Na odsiecz Fezowi.

Francya postanowiła za wszelką cenę utrzymać na tronie marokkańskim swego sprzymierzeńca Mulej Hafida i wytęża wszystkie siły, ażeby stłumić groźne powstanie, jakie przeciw niemu wybuchło. Natrafiła jednak na znacznie większe trudności, niż

Sytuacya pod Fezem jest dość niebezpieczna. Udało się wprawdzie zaprowiantować miasto, ale powstańcy, lepiej uzbrojeni od wojsk sułtańskich, bynajmniej nie myślą odstąpić od oblężenia, a pułkownik Bremond, który przedarł się do miasta na czele swej mehalli, nie ufa swym siłom i czeka z przedsięwzięciem akcyi w otwartem polu, aż przygromadnie opuściła swe siedziby i niema mowy o zaopatrywaniu się w żywność na miejscu. Raz po raz natrafiają Francuzi na zasadzki, a niedawno przyszło nawet do większej bitwy, w której z trudem tylko odp rto atak kilkutysięcznych zastępów pow-



Na odsiecz Fezowi: Francuska artylerya wsiada z działami na statki w Rabat, celem przeprawienia się przez Bu-Redreg.



25-letni jubileusz artysty: Wacław Szymborski.

początkowo można było przypuszczać, gdyż liczba zbuntowanych szczepów z dniem każdym rośnie. Rzeczpospolita wysyła tedy do Afryki pułki za pułkami, baterye za bateryami, wzywając broniącego się za murami swej stolicy sułtana, ażeby wytrwał jeszcze dni kilka lub kilkanaście, zanim przybędą francuskie posiłki.

będzie druga kolumna, którą dowodzi pułkownik Brulard.

Oddział tego ostatniego posuwa się naprzód dość zwolna, gdyż marsz przez kraj nieprzyjacielski i pustynny, w którym stoczyć trzeba ciągłe utarczki z ukazującymi się nagle i równie szybko pierzchającymi Marokkańczykami, jest ogromnie uciążliwy. Ludność

stańczych. Niektóre telegramy twierdzą nawet, że Brulard poniósł w tej walce ciężką porażkę, gdyż miał stracić 1.200 wielbłądów, obładowanych zapasami żywności i materyałami wojskowymi. Jeżeli nawet wieść ta nie jest prawdziwą, pozostaje pewnem, że marsz śpieszącej na odsiecz Fezowi kolumny napotka na poważne przeszkody i pomyślny wynik jego zależeć będzie od tego, jak długo oblężeni zdołają bronić się jeszcze.

O układach z powstańcami niema mowy. Żądają oni bezwarunkowo detronizacyi sultana, a na odezwę francuską, głoszącą, że republika niema żadnych celów zdobywczych i pragnie tylko przywrócić pokój w Marokku, odpowiedzieli, że Mulej Hafid jest krwawym tyranem, którego muszą obalić, a Francuzi nie broniliby go pewnie, gdyby znali choć połowę jego zbrodni. Z tego widać, że sprawa nie da się załatwić pokojowo, a Francya uwikłała się w uciążliwą wojnę, która potrwa dość długo. Nie należy również zapominać o możliwości komplikacyi w europejskiej polityce.

Illustracya nasza przedstawia pułkownika Brularda, wydającego rozkazy przed przeprawą jego kolumny przez rzekę Bu Redreg. Na drugiej rycinie widzimy ładowanie dział francuskich na statki.



Na odsiecz Fezowi: Pułkownik Brulard przed przeprawą przez rzekę Bu-Redreg.

Ustąpienie szefa rządu krajowego w Bośni.

(Do illustracyi na str. 2).

Od czasu okupacyi Bośni i Hercegowiny, wola monarchy złożyła naczelną władzę wojskową i cywilną w ręce każdorazowego komendanta korpusu w Serajewie, który równocześnie jest i szefem rządu krajowego dla anektowanych prowincyi. Administracya nie ucierpiała nic z tego powodu, przy boku każdego z komenderujących jenerałów stał dzielny cywilny adlatus, który energicznie kierował sprawami wewnętrznemi obydwu prowincyi.

Śmiało można powiedzieć, że pod rządami austryackimi Bośnia i Hercegowina zakwitły w niebywały dotąd sposób i rozwinęły się na modłę zupełnie europejską, ludzkie zaś i wyrozumiałe obchodzenie się z miejscową ludnością, zwróciło jej sympatye w stronę nowego rządu i jego przedstawiciela, rezydującego stale w Serajewie. Po jenerale Applu objął odpowiedzialne stanowisko znany u nas i ceniony baron Albori, po nim zaś jenerał kawaleryi Maryan Vareszanin v. Varesz, który obecnie ustępuje miejsca jen. zbrojmistrzowi Oskarowi Potiorkowi.

Następca Vareszanina, jenerał zbrojmistrz Potiorek, obejmuje stanowisko szefa rządu krajowego i jeneralny inspektorat wojskowy w Serajewie, dając zupełną gwarancyę, że wstąpi w ślady swych poprzedników, którzy tak chlubnie zapisali się na kartach dziejów bośniacko-hercegowińskich.

Echa zgonu ś. p. St. Brzozowskiego.

Oświadczenie. Otrzymaliśmy następującej treści list, z prośbą o umieszczenie w „Nowościach illustrowanych“: Szanowna Redakcyo! Jako mężowie zaufania ś. p. Stanisława Brzozowskiego w sądzie, zwołanym na jego żądanie w r. 1909 w sprawie oskarżenia, przeciw niemu podniesionego, upraszamy o łaskawe umieszczenie następującego oświadczenia:

Urząd mężów zaufania w powyższym sądzie przyjęliśmy w głębokiem przeświadczeniu o zupełnej niewinności ś. p. Stanisława Brzozowskiego. Po kilku posiedzeniach i przesłuchaniu całego szeregu świadków sąd został odroczony, by umożliwić obronie zebranie dalszego materyału. Z powodu ciężkiej choroby ś. p. Stanisława Brzozowskiego, która wyjazd jego z Florencyi i współudział w sądzie w Krakowie czyniła niemożliwym — dalsze posiedzenia sądu odbyć się nie mogły.

Wobec śmierci ś. p. Stanisława Brzozowskiego poczuwamy się do obowiązku oświadczenia, że dotychczasowy przebieg rozprawy sądowej nietylko nie zachwiał w nas przekonania o zupełnej niewinności ś. p. Stanisława Brzozowskiego, lecz zarazem dał nam podstawę do przypuszczenia, że autor oskarżenia, złudzony podobieństwem cech zewnętrznych, padł ofiarą omyłki, wywołanej przez trzecią osobę, która z tego podobieństwa świadomie korzystała.

Z wysokiem poważaniem

Dr. Rafał Buber. Inż. Jędrzej Moraczewski.

Kronika tygodniowa.

Opowiadają ludzie bardzo starzy, czemu trudno jednak uwierzyć, że pewnego razu zdrowy sens zagościł między wyborcami galicyjskimi i (co jeszcze mniej prawdopodobne) mieszkał nawet chwilowo w Krakowie. Gościnne jego występy miały oburzyć naczelników stronnictw i do wściekłości doprowadzić całą prasę galicyjską w ogóle, a krakowską w szczególe, wskutek czego c. k. namiestnictwo widziało się zmuszone wydalić uciążliwego cudzoziemca, jako obcokrajowca bez paszportu, podejrzanego o zamiar naruszenia spokojności publicznej, a co główna, nie dającego gwarancyi, aby mógł sobie w Galicyi zarobić na utrzymanie.

Ile w tem opowiadaniu jest prawdy, trudno zaiste docieć. Ani archiwa miejskie lwowskie i krakowskie, ani akta c. k. namiestnictwa nie zawierają nic takiego, coby mogło naprowadzić na ślad tajnych konspiracyi wyborców w Galicyi ze zdrowym rozsądkiem. Bądź co bądź, jeżeli ten fakt rzeczywiście się zdarzył, to w każdym razie stał się on w dalekiej przeszłości, może chyba za czasów, kiedy jeszcze nie wynaleziono Galicyi, kiedy więc we Lwowie nie było gubernatora, a w Krakowie delegata namiestnictwa, a natomiast oba te grody i ziemie do nich przytykające posiadały swych wojewodów i kasztelanów. Zdrowy sens bowiem ma zawiele zdrowego sensu w głowie, aby za naszych czasów narażał się na nieprzyjemności, jakieby go w Galicyi od kandydatów, komitetów wyborczych, magistratów, starostw i innych potęg ziemskich spotkać mogły.

Pomijając, że skończyłoby się na wytransportowaniu go szupasem z granic Galicyi i Lodomeryi z W. Księstwem Krakowskiem, ileżby ten jegomość, gdzieindziej monarcha głów oświeconych, wycierpieć musiał, patrząc na niesłychane dziwy i aberracye umysłowe. Proszę sobie wyobrazić np., że zdrowy sens spotyka się z wesołą przyjacielską kompanijką, złożoną z jasnych hrabiów i jaśnie oświeconych książąt, nadstawiających policzki p. Stapińskiemu, który nie tak dawno szlachtę rżnąć obiecywał, z polskich demokratów, trzymających się za ręce z woźnymi starostw i z wypierającymi się wszelkich stosunków z polskością niezawisłymi Żydami. I coby dalej powiedział, gdyby ujrzał całą tę kompanię zabierającą się do zgodnego sojuszniczego wymarszu w stronę urny wyborczej. Ba! zobaczyłby i inne dziwy: syonistów gruchających z hajdamakami, demokratów popierających JE. Korytowskiego, ludowców agitujących za p. Rosnerem, socyałów uśmiechających się do chrześcijan socyalnych, narodowych demokratów w objęciach ks. Stojałowskiego itd. Najsprzeczniejsze żywioły, wrogowie „do grobowej deski“, pozawierali między sobą pakty ogólne lub miejscowe, a to wszystko w celu, aby narobić takiego bigosu, jakiego nawet strawny żołądek polski znieść nie będzie w możności.

Zabawnych stron tej komedyi ani wyliczyć. Gdyby w Krakowie przed paru miesiącami powiedział ktoś, że przy nowych wyborach postawimy kandydatury dotychczasowych posłów, przyjętoby to ogólnym śmiechem i udzielonoby mówiącemu „takie głupstwa“ przydomku Filipa z Konopi, bo jeżeli na co była powszechna zgoda, to chyba na to, że Kraków srodze się „zbejał“ ostatnimi wyborami do parlamentu. A tymczasem, jak dotychczas, zanosi się na sankcyonowanie w trzech czwartych tej kompromitacyi. Tylko o jednym z dawnych posłów cisza, pomimo że — bez względu na słuszność czy niesłuszność czynionych mu zarzutów — była to bądź co bądź jedyna głowa na czterech poselskich karkach krakowskich. Nawet poseł, do którego przyrosła nazwa „operetkowego“, ma wielkie szanse, że będzie dalej zbawiał ojczyznę na bruku wiedeńskim.

Zabawną również stroną tej farsy jest poszukiwanie „specyalistów“, tak, jakby poseł w radzie państwa miał budować koleje czy kanały, szyć buty lub tużurki, handlować zbożem, leczyć na zapalenie oskrzeli lub komentować mowy Cycerona. Przyznam chyba każdy zdrowy na ciele i umyśle, iż do zajmowania politycznego stanowiska należy przedewszystkiem znać potrzeby kraju, umieć je przed stawiać i ich bronić, posiadać ducha inicyatywy, mieć szerszy pogląd na sprawy społeczne, wreszcie odznaczać się darem wymowy i siłą przekonań. A i to wszystko jeszcze nie wystarczy, jeżeli pan polityk nie umie politykować: gdzie potrzeba nacisnąć, gdzie można ustąpić, układać się ze stronnictwami czy rządem, zawierać kompromisy. Powinien wiedzieć, kiedy można iść do szturmu wstępnym bojem, a kiedy pomału czynić podkopy. Do polityków to nadaje się najlepiej maksyma: *estote prudentes sicut serpentes* — potrzeba osobnego daru, aby ją zastosować. Nie ulega wątpliwości, że te kwalifikacye może posiadać zarówno lekarz, jak inżynier, dziennikarz jak nauczyciel, prawnik jak filozof, gospodarz, jak przemysłowiec, artysta, jak farmaceuta, rzemieślnik, jak urzędnik, handlowiec, jak weterynarz. Ale trzeba z tych kwalifikacyi zdać egzamin i nie być wybranym dlatego, że się jest, dajmy na to, farmaceutą, lecz dlatego, że oprócz robienia proszków i mikstur posiada się zdolności na reprezentanta i obrońcę potrzeb krajowych. O ile wiem, ani Ziemiałkowski nie był inżynierem, ani Dunajewski botanikiem, ani Zyblikiewicz kolejarzem, ani Gołuchowski adwokatem, a pomimo to kierowali niegdyś najgorzej nawą publiczną. Bo być politykiem, statystą to jest również swego rodzaju specyalnością. Wchodząc na szersze pole, na wielką politykę, przypominam, że Bismark był tylko junkrem, Beacons field powieściopisarzem, a Edward VII. był specyalistą od mody męskiej, a przecież rządzili losami państw i narodów.

Co zważywszy — przejdźmy do innego przedmiotu. Rada krakowska ma iść za przykładem rady lwowskiej i zamknąć szynki, niestety tylko przed młodzieżą. Dobre i to, a ileż obie te Rady za służyłyby sobie na większą wdzięczność, gdyby zmniejszyły przynajmniej o połowę liczbę tych filantropijnych zakładów. Toć w Krakowie na samym rynku jest koło 20 lokalów, w których można gruntownie przekroczyć ustawę o pijaństwie. Wszelkie Eleuterye, choćby najlepiej agitowały, nie uczynią i nie mogą uczynić takiego wyłomu w szkodliwym nałogu, jaki można zrobić przez stopniowe choćby zmniejszanie liczby szynków wszelkiego rodzaju. Postępujemy zaiste jak ludzie niespełna rozumu.

To zresztą zdanie nie moje. Wypowiedział je Bunge, profesor uniwersytetu w Bazylei, mówiąc o tem, że nonsensem jest wyszukiwać środeczki dla ulżenia nieszczęściom, chorobom i plagom ludzkości, zamiast im zapobiegać. „Jak waryaci postępują sobie (są jego słowa) przedstawiciele ludu w parlamentach, którzy uchwalają olbrzymie sumy na powiększenie domów dla obłąkanych, lazaretów, lecz nie chcą nic przeznaczyć na przeciwdziałanie obłędowi i chorobom. Jak waryaci działają członkowie kongresów, towarzystw dobroczynności, którzy zbierają coraz nowe środki na budowę przytułków wszelkiego rodzaju, zakładów dla epileptyków, słabych umysłowo, alkoholików, na budowę lecznic dla chorych na płuca, poliklinik dla ubogich, lecz nie chcą nic uczynić, gdy chodzi o zapobieganie gruźlicy, pijaństwu, epilepsyi...“

No, jestto trochę za ostro powiedziane, bo choroby bądź co bądź należy zwalczać — ale przedewszystkiem im zapobiegać. A co do chorób społecznych, to na zapobieganie im dzisiejć razy więcej powinniśmy kłaść nacisku, niż na zwalczanie. Opiekujmy się dziećmi bezdomnemi, biednemi i nie mającemi w domu dobrego przykładu, a nie będzie potrzeba zakładać sanatoryów moralnych dla wypuszczonych z więzień. Zaprowadźmy taki „monopol“, jak jest w Rosyi, a zmiejszy się po wsiach pijatyka. Usuńmy handelki i nocne „kawiarnie“, gdzie kawa jest tylko dodatkiem do alkoholu, a nie będziemy potrzebowali zakazywać ich właścicielom, aby młodzieży do swych lokalów nie puszczali. A może byśmy poszli za przykładem socyalistów niemieckich i urządzili bojkot alkoholu. Mniejsza o to, że powodem tego bojkotu nie był zapał do wstrzemięźliwości, lecz była chęć dokuczenia rządowi. Dość, że statystyka wskazuje, iż w ubiegłym roku wypito o $^1/_4$ mniej alkoholu, a rząd miał o 10% mniej z tego źródła dochodu. A o niepicie przed żadne sądy, nawet przed trybunał państwa w Lipsku, pociągniętym być nie można.

Trybunał ten miał świeżo twardy orzech do zgryzienia. Pamiętają zapewne czytelnicy ów sensacyjny proces o to, czy hrabina Węsierska-Kwilecka była czy nie była matką swego syna. Nie szło o dziecko, tylko o majorat, inni bowiem Kwileccy weszliby w jego posiadanie, gdyby udowodniono, że pani hrabina udawała tylko stan błogosławiony i kupiła sobie spadkobiercę majoratu. Cała Polska troszczyła się o to tak, jakby jej co z tego przyszło. Dzienniki warszawskie, które obywają się bez korespondentów z innych dzielnic polskich, cały ich pułk wówczas wysłały do Berlina. Hrabina zwyciężyła, ale nie na tem koniec awantury. Przyznająca się do urodzenia Józia Kwileckiego niejaka Cecylia Mayerowa, żona drożnka kolejowego z pod Krakowa, zażądała oddania jej dziecka. Józio więc narazie posiadał dwie matki. Hrabina umarła, Mayerowa pozostała. I choć hrabinę sąd przedtem uznał, inne sądy potem stanęły po stronie Mayerowej. Nareszcie po ośmioletnich procesach, trybunał w Lipsku odrzucił pretensyę Mayerowej. Czyim Józio jest synem, Bogu wiadomo, ale że nie Mayerowej, to chyba nic ulega wątpliwości. Bywają matki wyrodne, ale o wyrodniejszą byłoby trudno. Naprzód niby sprzedała dziecko na własność, a potem chce je unieszczęśliwić, wyrwać je z otoczenia, z objęć rodziny, którą ono uważa za swoją, pozbawić je majątku, stanowiska, skazać je na biedę i na powrót do warunków, do jakich przystosować się byłoby mu trudno. I pytanie, co byłoby wstrętniejsze: czy matka sprzedająca dziecko, czy matka starająca się je unieszczęśliwić, los mu na zawsze zagrodzić, zupełnie je wykoleić. I dlaczego? Czy dlatego, że się w niej „odezwało serce matczyne“? (dzięk[illegible] za takie serce) — broń Boże! — dlatego poprostu, że byłaby dobrze wynagrodzoną przez stronę interesowaną. Prawdziwa matka, gdyby popełniła podłość sprzedania dziecka, miałaby przynajmniej usprawiedliwienie w tem, że je chciała widzieć szczęśliwem. Więc gdyby nawet Mayerowa była matką, cieszyłbym się, że ją spotkał wyrok niesprawiedliwy, a jednak sprawiedliwy.

Na „dar narodowy“.

Przed laty dwudziestu zawiązało się w Krakowie w dniu 3 maja Towarzystwo Szkoły Ludowej. To też korzysta ono stale z tej rocznicy patryotycznej, ażeby zapomocą zbieranych na ulicach i w lokalach publicznych składek powiększyć swe fundusze, obracane następnie na tak szlachetne i doniosłe cele narodowe. I słuszną jest rzeczą, aby towarzystwo oświatowe przypominało się społeczeństwu specyalnie w rocznicę aktu, który był ważnym punktem zwrotnym w walce najlepszych synów ojczyzny naszej — z ciemnotą.

Szczególnie zasłużyło się tego roku w dniu 3-go maja koło akademickie, które wogóle jest jednem z najruchliwszych kół w całym kraju. Liczne dowody tego dało w ciągu swego istnienia, utrzymując kilkadziesiąt czytelń i kursów dla analfabetów i stale zajmując się organizowaniem i ułatwianiem wycieczek, przeważnie ludowych. Swieżo zasłużyło się to dzielne koło podczas obchodu grunwaldzkiego.

W dniu rocznicy konstytucyi zajęli się członkowie jego w sposób nadzwyczaj energiczny zbieraniem „daru narodowego“. We wszystkich ważniejszych punktach miasta ustawiono stoliki z puszkami, a prócz tego zbierano ofiary do 58 puszek, obnoszonych po ulicach, po kawiarniach, cukierniach i restauracyach.

Gorliwość i wytrwałość członków koła uwieńczył świetny skutek. Suma 1.800 koron, zebrana przez nich, mówi sama za siebie.

Załączone zdjęcie przedstawia grupę członków koła, którzy kwestowali 3-go maja. Zauważyć należy, że nie jest ona kompletna.

Gościna znakomitego aktora.

(Do illustracyi na str. 10).

Na szereg występów zjechał do Krakowa jeden z najwybitniejszych polskich artystów dramatycznych, Kazimierz Kamiński, obecnie reżyser teatrów warszawskich, a dawniej stały współpracownik sceny krakowskiej.

Imię Kamińskiego, jako niezrównanego odtwórcy postaci charakterystycznych, jako wielkiego wirtuoza sztuki scenicznej, zbyt jest głośne, niepospolite zalety jego ogromnego talentu zbyt znane, by je tu trzeba było przypominać. Chcemy tylko z okazyi gościnnych występów Kamińskiego na scenie teatru krakowskiego, zwrócić uwagę najszerszych kół mieszkańców Krakowa, na nadarzającą się sposobność odnowienia znajomości ze znakomitym aktorem polskim, który z bogatego swego repertuaru przedstawi tu szereg doskonałych ról, w części znanych bywalcom teatralnym, w części nowych.

Już pierwszy występ Kamińskiego w roli dra Jury w sztuce Bahra p. t. „Koncert“ potwierdził w zupełności sławę, jaką ten artysta się ogólnie cieszy, a oklaski huczne, jakimi tłumnie zebrana publiczność darzyła swego ulubieńca, były dowodem szczerego i serdecznego uznania.

Ogromne zainteresowanie towarzyszy zwłaszcza dwom rolom nowym, które Kamiński ma obecnie w Krakowie kreować. A to roli „Fryderyka Wielkiego“, po Solskim, który ją pierwszy z polskich aktorów grał i grał tak świetnie, oraz Shylocka w „Kupcu weneckim“ Szekspira. Obie te role kreował Kamiński w Warszawie z ogromnem powodzeniem.

Po za tem przypomni się Kamiński w swych znakomitych rolach w „Rozbitkach“, w „Panu Damazym“, w „Bogatym wujaszku“, w „Intratnej posadzie“ i innych.

Niezwykła fotografia.

Prowadzone racyonalnie ogrody zoologiczne pozwalają na dokładne obserwowanie życia dzikich zwierząt z wszystkimi jego szczegółami, a nawet na fotografowanie najciekawszych momentów tego życia. Za dowód niech posłuży zamieszczone przez nas zdjęcie.

Chciwy niezwykłego przedmiotu aparat uwiecznił chwilę, gdy zaskrońce i żmije wydobywają się z jaj. Jeden z młodych wężów zdołał już wydobyć się z twardej powłoki i pełznie już po ziemi. Inne dopiero walczą z trudnością przebicia skorupy i widoczne są tylko częściowo.

Ciekawego zdjęcia dokonano w londyńskim ogrodzie zoologicznym. Niełatwo było uchwycić odpowiednią chwilę, gdyż węże, zwłaszcza zaskrońce, powodowane trafnym instynktem, składają jaja między gnijącymi liśćmi lub w wilgotnym namule, ażeby zapewnić im odpowiednią temperaturę.

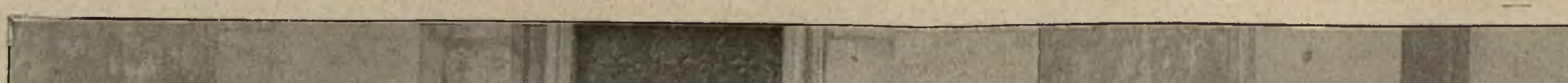


Wyścigi konne we Lwowie: Na placu wyścigowym. (Fot. M. Münz, Lwów).

25-letni jubileusz artysty.

P. Wacław Szymborski, artysta sceny krakowskiej, obchodzi 25-lecie swej pracy dla sztuki.

Urodzony w r. 1866, ukończył szkołę dramaty-



Na „dar narodowy“: Członkowie akademickiego Koła T. S. L., którzy zbierali składki na „dar narodowy“. (Fot. T. Pierzchalski, Kraków).



Wystawa prac uczniów rękodzielniczych: Otwarcie wystawy w pałacu sztuki na placu powystawowym we Lwowie. (Fot. M Münz, Lwów).

czną Trapszy w Warszawie i w wieku lat dwudziestu wstąpił do trupy prowincyonalnej Ratajewicza. Wkrótce potem zaangażował go do Poznania Franciszek Dobrowolski, ówczesny dyrektor tamtejszego teatru. Spędziwszy w Poznaniu dwa lata, wrócił p. Szymborski do Królestwa i odtąd grywał na scenach zarówno prowincyonalnych, jak stołecznych dopóki w roku 1905 nie wstąpił do teatru lwowskiego, na którego czele stał Pawlikowski. Od lat pięciu jest artystą sceny krakowskiej.

P. Szymborski grywa role charakterystyczne. Z conajmniej 600 postaci, jakie odtworzył w czasie swej karyery scenicznej, wymieniamy kilka wybitniejszych, jak p. Tobiasza w „Wieczorze trzech Króli“, Jaśka w „Weselu“, Sganarela w „Doktorze z musu“, księcia Wiśniowieckiego w „Dymitrze Samozwańcu“, prezydenta Lichockiego w „Kościuszce pod Racławicami“ i proboszcza w „Miłość czuwa“. Jak widzimy, są to role przeważnie o podkładzie komicznym. P. Szymborski odtwarzał je z niezmiennym pogodnym humorem, jakkolwiek w razie potrzeby, jak np. w „Weselu“, umiał zdobyć się na akcenty tragiczne. To też należy do ulubieńców publiczności.

Z okazyi 25-lecia jego pracy, zasyłamy mu serdeczne „Szczęść Boże“.

Z walki z analfabetyzmem.

Analfabetyzm jest jedną z najgorszych klęsk naszego kraju. To też każde z usiłowań, zdążających do jego wykorzenienia, należy witać jako ważny krok naprzód na polu kulturalnem.

Bardzo skutecznym czynnikiem są kursa dla dorosłych analfabetów, istniejące przy niektórych szkołach ludowych. Kurs taki posiada naprzyład szkoła im. Konarskiego we Lwowie. Koszta ponosi gmina, kierownikiej jest Jan Faff, a w skład grona nauczycielskiego wchodzą ks. Jakób Pęksa oraz pp. Hieronim Hofman i Józef Oleszkiewicz. Dzięki umiejętnemu prowadzeniu, kurs poszczycić się może pokaźnymi rezultatami. Otwarto go przed kilku laty, a w krótkim czasie okazała się potrzeba utworzenia drugiego oddziału.

Podajemy grupę tegorocznych uczniów z gronem nauczycielskiem. Od strony lewej ku prawej siedzą: Józef Oleszkiewicz, ks. Jakób Pęksa, Jan Faff i Hieronim Hofman.

Wystawa prac uczniów rękodzielniczych.

Od szeregu lat widzi się w naszym kraju usilne dążenie wszystkich kół społeczeństwa do podniesienia i podźwignięcia rękodzielnictwa galicyjskiego, do postawienia go na tej stopie, na jakiej ono znajduje się obecnie za granicą. Aby ten cel osiągnąć, konieczne jest odpowiednie kształcenie młodzieży rękodzielniczej, dostarczenie jej środków celem zaznajomienia się z postępem i rozwojem rękodzieła w innych krajach, dostarczenie jej odpowiednich wzorów.

Usiłowania w tym kierunku wydają coraz piękniejsze owoce, które można obserwować na rozmaitych wystawach, urządzanych we wszystkich stronach kraju, przedewszystkiem zaś na wystawach prac uczniów rękodzielniczych.

Niedawno wystawę taką urządziła krakowska Izba rękodzielnicza, obecnie zaś otwarta została wystawa prac uczniów rękodzielniczych we Lwowie, w dawnym pałacu sztuki na placu powystawowym. Wystawę zorganizowała lwowska Izba stowarzyszeń rękodzielniczych i przemysłowych.

Wystawa została otwarta w niedzielę przed południem. Po inauguracyjnem nabożeństwie w kościele archikatedralnym, zebrali się uczestnicy otwarcia przed pałacem sztuki. Między innymi byli tam prezydent Ciuchciński, wielu radnych miejskich, prezydyum Izby rękodzielniczej, delegat krakowskiej Izby rękodzielniczej r. Kosobucki, reprezentanci Izby handlowej i przemysłowej oraz sporo publi-



Z walki z analfabetyzmem: Grupa uczniów kursu analfabetów we Lwowie wraz z gronem nauczycieli i kierownikiem kursu p. Faffem (X). (Fot. M. Münz, Lwów).

czności, w szczególności pracodawcy i rodziny młodych wystawców.

Do zebranych przemówił pierwszy prezes Izby rękodzielniczej lwowskiej J. Schirmer, podkreślając znaczenie praktyczne wystawy dla rozwoju rękodzieł w kraju. Następnie przemawiał r. Kosobucki z Krakowa prof. L. Becker imieniem szkoły przemysłowej, instruktor dr Schönnett i r. Ohly, poczem prezydent Ciuchciński otworzył wystawę, przecinając biało-amarantową wstęgę u drzwi pałacu sztuki.

Wystawa przedstawia się bardzo okazale i świadczy bardzo dodatnio zarówno o uzdolnieniu młodego pokolenia rękodzielników, jak i o ich fachowem wykształceniu, pracowitości i skrupulatności. Publiczność licznie zwiedza wszystkie działy pięknej wystawy.

Wyścigi konne we Lwowie.

Wiosenny meeting tegoroczny we Lwowie zapowiada się znacznie lepiej pod każdym względem, niż w latach poprzednich. Przedewszystkiem trwać będzie dłużej, bo około dwóch tygodni, nadto do biegów zgłoszono wcale dużo koni, co oczywiście przyczynia się w głównej mierze do ożywienia pięknej zabawy sportowej.

Także sam tor wyścigowy, znany tor Cetnera za rogatką stryjską, zmienił nieco swój wygląd zewnętrzny, a zarząd postarał się o zaprowadzenie szeregu ulepszeń, które zebrana licznie w pierwszym dniu wyścigów publiczność powitała bardzo sympatycznie.

Pierwszy dzień wyścigów przyniósł kilka ładnych sukcesów znanej stajni p. Kazimierza Ostoja-Ostaszewskiego, którego konie „Pani Dulska“, „Wright“ i „Polish Galloway“ zdobyły pierwsze nagrody, a „Maseczka“ trzecią. Stajnia tego zamiłowanego w hodowli koni sportsmena zyskuje z każdym rokiem i coraz piękniejszymi szczyci się rezultatami.

Mniej dopisało szczęście p. Zangenowi, który w trzech biegach wysłał swe konie, a to „Minding-gyöngy“, „Kańczuga“ i „Gasparda“, ale zawsze zadowolić się musiał drugiem miejscem. Natomiast p. B. Zangen jako jeździec dwukrotnie zdobył pierwszą nagrodę: w biegu o nagrodę pań na „Fergetegu“ p. Jampolskiego i w „Steple-chase Podolanki“ na „Doroszence“ p. Dydyńskiego.

Sensacyę dnia stanowiło zwycięstwo „Barykady“ p. Ułaszyna w biegu sprzedażnym, zwycięstwo zgoła nieprzewidziane, czego dowodem, iż totalizator płacił wówczas 238 kor. za 10 kor.

Zdjęcie z placu wyścigowego zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Ze świata dyplomatycznego.

Dawno już przepowiadano, że hr. Forgach, dotychczasowy poseł austryacki w Belgradzie, ustąpi ze zajmowanego stanowiska. Stosunek wzajemny pomiędzy Austryą i Serbią od dłuższego czasu pozostawiający wiele do życzenia, w ostatnich tygodniach naprężył się jeszcze bardziej, powodem zaś było niedojście do skutku odwiedzin króla Piotra, bodaj choćby w Budapeszcie, jeśli już nie można we Wiedniu.

Już w czasie opublikowania słynnych dokumentów, które stanowiły głośny materyał dowodowy w procesie Friedjunga, a okazały się najzwyklejszymi falsyfikatami, przypuszczano powszechnie, że hrabia Forgach pójdzie w odstawkę. Kierownictwo zagranicznej polityki, aby nie dać prasie powodu do niezbyt miłych dla siebie refleksyi, pozostawiło go jednak i nadal na tem odpowiedzialnem stanowisku i postanowiło szukać innej sposobności.

I właśnie teraz się znalazła...

Hrabia Forgach opuszcza Belgrad, gdzie pole działalności okazało się dlań niewdzięcznem i przenosi się na stanowisko posła austryackiego w Dreźnie, co w politycznem zrozumieniu rzeczy równa się zupełnej degradacyi. Zastępca Austryi w Dreźnie, to posada dla kandydatów na emerytów, którzy chcieliby odetchnąć po pracy, a nie mają jeszcze ochoty przejść w stan dobrze zasłużonego spoczynku.

Następcą hr. Forgacha został zamianowany Stefan Ugron v. Abranfalva, radca legacyjny przy poselstwie w Bukareszcie a przedtem konsul austryacki w Smyrnie, Wenecyi, Nowym Yorku, Kijowie, Tyflisie i Warszawie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 18.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Kalicińska Zakopane, J. Górski Warszawa, H. Pick Łódź, J. Radoszewski Mielec, H. Górecki Stanisławów, S. Sokołowski Sanok, M. Dembiński Jasło, K Błachowski Sanok, J. Nowicki Rzeszów, H. Krawecka Sanok, J. Kozłowski Warszawa, W. Sołtysik Lwów, W. Kalinowski Przemyśl, F Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, J. Łopatkiewicz Bochnia, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, K. Zegartowska Łososina, H Zegartowska Bogucice, I. Brzostowski Krosno, M. Wojkowski Tarnopol, J Zerygiewicz Stanisławów, D. Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, W. Potocka Kraków, O. Górkowa Chyrów, S Bukowski Kijów, H. Maciejowska Sambor, D. Misiągiewicz Tarnopol, R. Ciszewski Kraków, W. Bandrowski Sandomierz, J Kwaśniewski Przemyśl, M. Żychoń Lwów, R. Świrski Częstochowa, W. Ostrowski Piotrków, M. Więckowska Warszawa, J. Zapała Kraków, H. Olszewski Kraków, M. Wacięga Andrychów, S Jaworski Zakopane, J. Czernecki Złoczów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, H. Angermann Kraków, M. Balicka Stanisławów, K. Gliński Kołomyja. J. Ohrenstein Stanisławów, S Lindenbaum Czerniowce, S. Wilczkiewicz Jasło, K. Wasilewski Zakopane, W. Urban Lwów, J. Wilkosz Rzeszów, H. Piątek Podwołoczyska J. Jahoda Cieszyn. T. Popiel Kraków, M. Krysakowski Lwów, J. Klappholz Rzeszów, J. Karpiński Sanok, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Tarnopol, J. Czapla Sambor, J. Łopatkiewicz Krosno, J. Lisowski Kołomyja, M. Świdzińska Złoczów, S. Bielawski Warszawa, T. Górski Lwów, J. Radziński Rzeszów, J. Rozwadowska Wiedeń, K. Laurecki Sanok, M. Lemieszewska Stanisławów, K. Cegielski Berlin, M. Czermiński Kraków, H. Morawska Warszawa, J. Lipowski Jasło, S. Hubaczek Tarnopol, K. Wiewiórowski Janów, J. Bałuk Kraków, T. Broda Strzyżów, H. Sperling Wiedeń, M. Gromnicka Lwów, J. Kopacz Kołomyja, M. Barnat Cieszyn, J. Sapecki Poznań, J. Skalski Kraków, M. Stolarska Podgórze, S. Krzyżanowski Podgórze, F. Frankowicz Warszawa, J. Łopatyński Lwów, H. Karlińska Kraków, S. Zamorski Rzeszów, H. Zielińska Rzeszów, M. Sontag Łódź, J. Bernstein Warszawa, K Żmigrodzki Kijów, J Dymnicki Tarnobrzeg. K. Suchecki Piotrków, M. Rogalska Warszawa, J Stępień Budapeszt, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, A. Gralewski Kraków, J. Antosz Krosno, W. Engelberg Rzeszów, C. Wang Krosno, L. Sobański Warszawa, K Heller Wiedeń. J. Łapiński Kraków, S. Tokarski Sambor, H. Malinowska Winnica, M. J Lefas Warszawa, E Bogdalska Koropuż, S. Faliszewski Baligród, M. Serbeńska Budzanów, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Serbeńska Budzanów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Arytmograf:

B
S o k
B e l k a
M a r e n g o
W i s ł a
K ł y
P r a g a
K l a w i s z
E r o s i P s y c h e
B y s t r z y c a
K a r b u n k u ł
S o b i e s k i J a n

Zadanie do przestawienia: Czem chata bogata, tem rada.

Arytmo-logogryf:

B
B u g
S o k ó ł
B o r o w i k
K a w k a
A i n
ń
O s a
L o k a l
K a l i b e r
R o s e n
L e n
K o l o r
K o l i b r y
K a z i m i e r z

Zadanie przysłowiowe: Każdy czyni, jak mu się podoba.

Szarada: Pastelka.

Trójkąt magiczny:

J u l j a n F a ł a t
U s z c z e r b e k
L u t o w i s k a
J a s k i n i a
A l k i e r z
N i c p o ń
F e r m a
A k t a
Ł u t
A r
T

Szarada: Komary.

Z półek księgarskich.

Z życia zwierząt, napisał Józef Ciembroniewicz. Z 28 rycinami, Lwów 1911. Bibliotoka Macierzy Polskiej, nr. 60. Cena 70 hal.

Nadzwyczaj popularnie a zajmująco napisana rozprawka z życia zwierząt, zawierająca trzy rozdziały, traktujące o budowie mieszkań w świecie zwierzęcym, usługach, jakie nam oddają ptaki i przepowiadaniu pogody przez różne zwierzęta.

Przegląd zdrojowo-kąpielowy i przewodnik turystyczny. Oficyalny organ Polskiego Towarzystwa Balneologicznego i Kraj. Związku Turystycznego. Rok X. Nr. 1. Kraków dnia 1 maja 1911. Czasopismo illustrowane, wychodzi cały rok co 14 dni. Prenumerata roczna 6 koron. Redakcya i administracya Kraków, Batorego 1

Treść nr. 1.: Pamiętajmy o polskich zdrojowiskach i uzdrowiskach — Od Redakcyi — Zarys działalności Wydziału Polsk. Tow. Balneologicznego — Ś. p. Dr Bolesław Skórczewski (Wspomnienie pośmiertne). — Mapa polskich zdrojowisk — Odezwa do lekarzy i do publiczności — Korespondencya — Wiadomości bieżące — Bibliografia — Sprawozdanie turystyczne.

Ewa hr. Dzieduszycka: **Wygnani z raju.** Szkic powieściowy. Nakład księgarni A. Staudachera i Sp. (Maryan Haskier) Stanisławów. Warszawa E Wende i Sp 1911. Druk W. L. Anczyca i Sp. Kraków.

Nadzwyczaj zajmująco i barwnie napisane opowiadanie z życia pióra utalentowanej autorki, znanej już zaszczytnie z innych prac literackich, przyjętych bardzo życzliwie przez krytykę i czytającą Publiczność.

Odpowiedzi Redakcyi.

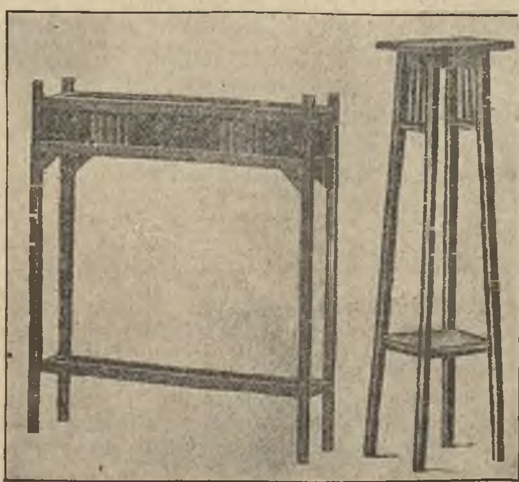
WP. M. J. Lefas, Warszawa: Dziękując za już, prosimy o jeszcze i życzymy powodzenia przy egzaminie. Co do nadsyłania naszego pisma do Ciechocinka prosimy zwrócić się do biura Ungra w Warszawie, gdzie znajduje się nasze jeneralne zastępstwo na Królestwo i Cesarstwo, z Krakowa bowiem wprost za granicę egzemplarzy nie możemy wysyłać.

NADESŁANE.

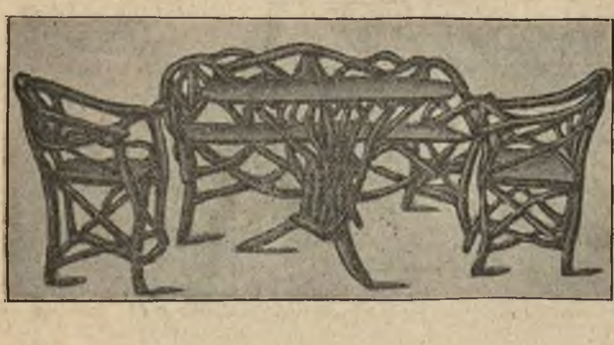
Ze świata kobiecego.

Jak się wybrać i jak mieszkać na letnisku.

Lada dzień zaczną się już zapełniać bliższe i dalsze letniska nasze. Panie, szczególnie matki drobnej dziatwy, niemało nałamią sobie głowy, co zabierać z sobą na letnie mieszkanie, co przygotować, w co się



zaopatrzyć. Troska rzeczywiście to nielada, nie dość bowiem przygotować znośne mieszkanie na parę lub kilka miesięcy, ale trzeba też pozostawić dom w mieście w warunkach, dających możność względnie wygodnej egzystencyi głowie domu, skazanej zazwyczaj na „suszenie" jej w murach miasta. Trzeba zaopa-



trzyć dom odpowiednio, aby nie wdarli się amatorowie cudzej własności, korzystając z nieobecności państwa.

Przezorna zatem pani domu, gdy nie pozostawia bardzo pewnej i wiernej służby, powinna srebra, biżuterye i wszelkie kosztowności dać do przechowania w jakim banku. Drobny wydatek, wynikły stąd, zapewni korzyść niezmierną spokoju, tak koniecznego przy kuracyi, czy choćby tylko letnim wypoczynku, mającym zahartować nerwy na nowy okres pracy, szarpaniny i niehygienicznych warunków wielkich miast.

Dalej powinna przechować dywany i portyery, żeby nie stały się pastwą molów. W tym względzie lepiej jest, gdy nie chowa ich do skrzyń, w które na wczesną wiosnę zostały włożone futra i wełniane okrycia z odpowiednią przyprawą pikantnych i aromatycznych trucizn dla nieszczęsnych molów. Dywany i portyery, w skrzyniach przechowane przez kilka miesięcy, łatwo mogą się pozałamywać i stracić świeżość. Najlepiej na dywany w całej ich długości układać papiery, maczane w terpentynie, przesypać je zwyczajną tabaką, tak zwaną machorką i, zwinąwszy silnie, obszyć w maglownik lub inną mocną, bawełnianą tkaninę. Opakowane w ten sposób mogą dywany stać na jakimś korytarzu i z pewnością żaden skrzydlaty bandyta ich nie tknie.

Staranna gospodyni powinna też przed wyjazdem kazać zdjąć wszystkie firanki, uprać bez krochmalu i schować. W opustoszałem mieszkaniu firanki są niepotrzebne, brak ich ułatwia otwieranie okien, a przez to wietrzenie pokoju.

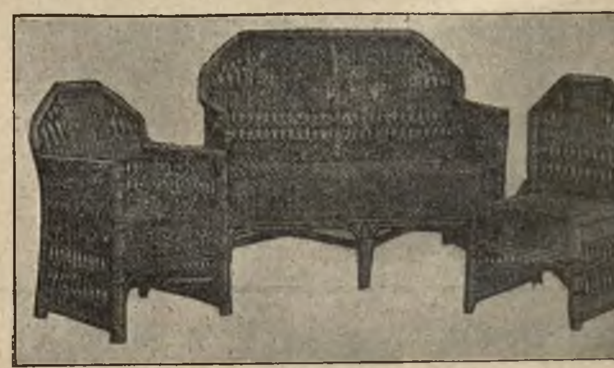
Wreszcie następuje wyjazd umęczonej przygotowaniami nieszczęsnej żony i matki na wieś! Dla tej, która udaje się do wygodnie urządzonego pensyonatu, z tą chwilą kończą się wszelkie kłopoty, inaczej jest z osobą, udającą się do Czatkowic, Czerny lub Myślenic. Przybywa do cudnej okolicy i wstępuje do mieszkania, najczęściej w domu chłopa, który bądź odnajmuje połowę w zamieszkałym przez siebie, bądź w wybudowanym umyślnie dla wyjeżdżających „na powietrze". Sciany bielone, podłoga świeżo umyta, z szerokiemi szparami, które niebawem staną się terenem, zamieszkanym przez plemię wiecznie skaczące (nie dziw, nie płaci przecie podatków); meble sosnowe, bajcowane ordynarną, ciemną farbą, na ścianie parę ohydnych oleodruków lub pobożnych bohomazów.

W tem mieszkaniu, strasznem tandetą i brakiem smaku, tembardziej rażącem, że człowiek wstępuje w nie z oczyma i nerwami pełnymi wspomnień cudnej przyrody, ma dana niewiasta spędzić kilka miesięcy; przesiadywać długie wieczory w czasie słot i deszczów, przyjmować co sobotę męża i pana, przybywającego w celu nacieszenia się rodziną i sielskiemi pięknościami.

Co ma uczynić nasza żona i matka, aby to mieszkanie uczynić miłem i wdzięcznem?



Oto przedewszystkiem powinna zdecydować się na to, że do każdego letniego mieszkania trzeba doliczyć wydatek kilku butelek orzechowego pokostu na podłogę i białego na okna i meble. Służący, czy umyślnie wynajęty człowiek, powinien na kilka dni przed wybraniem się na letnisko to uskutecznić. Dalej brzydką szablonowość i bezwzględną „użyteczność" trzeba urozmaicić troszką mebli zbytecznych, a tanich, które każdy wiejski stolarz według wzoru wykonać potrafi. Podajemy tu kilka typów. Ławy, zydle, police, najprostsze w kształcie, biało pokostowane lub poprostu dobrze wyheblowane, będą bardziej harmonizowały z całością, aniżeli toczone i rzeźbione mebelki, gdzieindziej bardzo odpowiednie. Nie zapominajmy o parawanach. Na letniem mieszkaniu bywa zazwyczaj pewne ściśnienie i konieczność lokowania po parę lub kilka osób w jednym pokoju; jak w tych warunkach nie osłonić łóżka lub umywalni parawanem? Zazwyczaj zadanie to spełniają szkaradne, trzcinowe, pociągane lepką farbą, parawany, dlatego, że są lekkie i tanie. Co do taniości pozwolę sobie zaprotestować, gdyż są nietrwałe i dwie czy trzy mocne ramy, naciągnięte perkalem, przetrwają dziesięć trzcinowych. Perkale na ten cel powinny być na białem tle, a barwne w deseniu; pasy również są bardzo ładne. Wogóle perkale i kretony meblowe odgrywają niemałą rolę w urządzeniu i upiększeniu letniego mieszkania, tylko trzeba wybierać na nie bardzo dobre gatunki, aby mogły wytrzymać operacyę słoneczną i częste pranie. Stoły przykrywane powinny być serwetami o motywach wesołych. Wreszcie, gdzie można, stawiajmy bukiety polnych kwiatów, gałęzie drzew iglastych, mieszane z tymi ostatnimi i łopianami, w zwykłych, glinianych garnkach lub dzbankach, otoczonych kra-kowską wstążką. Ze ścian zrzućmy czemprędzej oleodruki, a brzydkie gwoździe zakryjmy bukietami suchych traw lub polnego kwiecia, zawieszonego w niewiele dotychczas wyzyskiwanych a bardzo wdzięcznych wazonach, jakie przedstawiają — ogórki.



Tak, moje panie, wynalazek to prosty i łatwy; w ścięty z wierzchu i wydrążony ogórek włożyć wiązankę kwiecia i z raz na dzień wlać cokolwiek wody; kwiaty przechowują się niezmiernie długo. Ogórek przewiązuje się w odpowiedniem miejscu wstążką i wiesza na ścianie.



W tak urządzonem i przystrojonem mieszkaniu można mile przepędzić niejedną godzinę i podnieść sielski wdzięk odpowiedniemi ramami.

Ramo...

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

57

Malarze rozstawili stalugi, a ponieważ mieli jeden tylko model i ten musieli mieć na pół metra przed oczami, usadowili się bardzo blisko siebie. Rozumieli, że gdy pracują w tych warunkach, musi panować między nimi pewne porozumienie i za wspólną zgodą zawiesili fotografię na ścianie, w równej od siebie odległości. Przy tej sposobności zamienili zresztą z sobą tylko parę słów koniecznych i to tonem zimnym i ceremonialnym. Po skończeniu przygotowań zabrali się odrazu do malowania, udając, że żadnego z nich nie interesuje wcale praca jego rywali.

Wieczorem koło piątej godziny przybyli lekarze. I dla nich Kamilla zastępowała obecnie pana domu. Zaprowadziła ich znowu do Ludwiki i czterech uczonych długo badało chorą, zastanawiajec się nad sposobem jej leczenia. Przed odejściem Balazzo oznajmił.

— Wybraliśmy już pewien system leczenia... Polegać on będzie głównie na uspokajaniu chorej... Nie będziemy zaś stosowali ani hypnotyzmu, ani żadnych innych podobnych środków, często niebezpiecznych i trudnych do przeprowadzenia...

— A czy mają panowie nadzieję prędkiego wyleczenia? — zapytała Kamilla.

— Nie... Nic tu nie możemy powiedzieć stanowczego... Ach! gdyby to można było poddać ją wzruszeniu, o jakiem mówiłem rano... wzruszeniu łagodnemu a zarazem silnemu, wyleczenie nastąpiłoby natychmiast... Niestety jednek, tego wzruszenia nie umiemy wywołać... Może je sprowadzić tylko wypadek, a on jest mało prawdopodobny...

— Tem mniej prawdopodobny — odparła Kamilla — iż, aby być czem wzruszoną, trzeba to rozumieć... A Ludwika nic nie rozumie... Mogą się przed jej oczami rozgrywać najgwałtowniejsze sceny a ona nawet ich nie spostrzeże...

— Błędne ma pani zapatrywanie. Nasza chora rozumie. Powinna była pani to zauważyć... Rozumie jednak tylko chwilami... Ma ona przebłyski świadomości... Lecz muszę wyznać, że i w tych chwilach niektóre rzeczy są dla niej niedostępnemi... Tak naprzykład rozróżnia imiona, lecz nie poznaje twarzy... przynajmniej twarzy osób niedawno znajomych...

— Co pan doktór chce przez to powiedzieć? — zapytała Kamilla, nie rozumiejąc dobrze ostatniego zdania psychiatry.

— Chcę powiedzieć, że wypadki ostatnich lat zatarły się w jej świadomości, natomiast dawniejsze lepiej pamięta... Nie poznaje naprzykład twarzy pani... prawdopodobnie jednak nie zapomniała twarzy znanych z dziecięctwa...

Trzech innych lekarzy potwierdzało to ruchem głowy.

— Jednem słowem — zakończył Balazzo — umysł jej pracuje nieregularnie, tylko od czasu do czasu i źle... ale w każdym razie pracuje... To wystarcza, byśmy nie tracili nadziei... Do widzenia... Przyjdę jeszcze jutro rano przed odjazdem...

Uczeni wychodząc, spotkali się z Maurycym, który przychodził po nowiny.

— I co? Co powiedzieli? — zapytał inżynier młodej panny.

— Nic nowego... Nie można dowiedzieć się od nich niczego stanowczego...

Nastało milczenie, które po chwili przerwał inżynier.

— Chciałbym pomówić z panią...

Znajdowali się w pokoju, w którym była Ludwika i dwie infirmerki. Maurycy nie chciał, by go słyszał ktoś oprócz Kamilli. Młoda panna skierowała się więc ku drzwiom. Inżynier poszedł za nią. Nagle usłyszeli za sobą lekki szmer. Chora stała za nimi.

— Zostań tutaj — rzekła łagodnie Kamilla.

Ludwika stanęła natychmiast. Szare jej jednak wielkie oczy napełniły się łzami. Instynktownie więcej lubiła widocznie tę swoją dozorczynię, niż tamte dwie. Nie chciała jej opuszczać.

— Chodź, moja droga, chodź ze mną! — pospieszyła naprawić zło Kamilla.

Młode panny i inżynier wyszli z pokoju.

Kamilla udała się do znajdującego się obok swego apartamentu i wprowadziła gości do buduaru.

— Jesteśmy już sami — rzekła. — Ludwika bowiem, niestety, nie liczy się... Co pan chce mi powiedzieć?

— To — odparł inżynier — iż zajmując się osobami, które nas interesują, możemy jednocześnie pomyśleć trochę i o sobie...

— Co to ma znaczyć?

— Pani to dobrze wie... Kochamy się...

— Och! — przerwała młoda panna. — Nie może być mowy o miłości w dramacie, który przeżywamy...

— Owszem! — nie dał jej teraz dokończyć Maurycy. — Miłość doda nam sił do zniesienia go! Bądźmy sprawiedliwi... Czyż cierpienia nasze dobrowolne przyniosą komu jaką korzyść?... Nie pozostało nam nic, jak tylko nasze wzajemne uczucia... Po cóż mamy je przytłumiać?

Ludwika pokręciła się po buduarze i przeszła do sąsiedniego pokoju. Kamilla została sam na sam z Maurycym. Mimo jednak tematu rozmowy, nie czuła się zażenowaną tak oboje byli poważni i smutni.

— Mówię to dlatego — rzekł znowu Maurycy — ponieważ musimy powrócić do rozmowy, którą mieliśmy przedwczoraj... Pani zdawała się wyrzekać małżeństwa, które wydawało się pani niemożliwem... Uważała się pani — cytuję własne pani słowa — za niegodną mnie...

— Więc?...

— Na razie nic nie odpowiedziałem, gdyż mieliśmy co innego do roboty, a nie rozmawiać... Później wobec pani smutku nakazałem milczenie swemu sercu, a rozmawiałem z panią tylko jako przyjaciel... Teraz jednak zdaje mi się, że możemy poruszyć ten temat... Ja wcale nie zwróciłem pani słowa i wobec tego jesteśmy nadal narzeczonymi...

— Nie! powtarzam panu, że to jest niemożliwe!

— Przypuszczałem, że pani jeszcze nie pozbyła się tej myśli! I dlatego prosiłem o tę rozmowę... Kamillo, czy pani może rozważyć wszystko spokojnie?... Nie będę już się odwoływał ani do rozsądku, ani do poczucia sprawiedliwości... Przecież to jest zupełnie jasne, że jeżeli pani rodzina zawiniła, to nie pani... a przytem odmawiając mi swej ręki, karze pani mnie, a chyba ja jestem niewinny...

— Nazwisko, które noszę, zostało skalane...

— Cóż z tego! Ja panią kocham!... A zresztą nie zostało ono skalane, ponieważ nikt nic nie wie...

Ludwika ukazała się w drzwiach buduaru. Była bardzo blada i drżąca. Maurycy i Kamilla spostrzegli to i poszli zajrzeć do sąsiedniego pokoju.

Na stole stało pudełko z przyborami do pisania. Leżał w niem papier, koperty, laska laku, pióro, ołówek, guma, stalówki, wszystko ułożone w swoich przedziałkach.

— Te listy... — rzekła Ludwika, wskazując na pudełko z przerażeniem — nie są moje... Skąd one się tu wzięły?...

Na wspomnienie tej nocy tragicznej, którą obłąkana zdawała się przeżywać teraz po raz wtóry, Kamilla doznała wrażenia, jak gdyby pani de Lagunan stała przy stole i dokonywała obecnie swego wstrętnego czynu.

— Uspokój się, moja droga — rzekła drżącym głosem. — Nie bój się. Niema tu żadnych listów...

— Owszem!... Patrz!... Kto je włożył do mego pudełka.

Kamilla, nie tłomacząc już nic, otworzyła szufladę swego sekretarzyka i schowała w niej pudełko.

Nie zamknęła jej jednak i Ludwika, zapominając już o listach, zaczęła się bawić czarką pełną luidorów. Nieszczęśliwa zanurzyła w niej rękę i wyjęła kilka złotych monet.

— Zostaw je, moja droga — rzekła Kamilla.

Ludwika jednak nie miała ochoty ich zostawić.

— A więc zachowaj je, kiedy chcesz — przyzwoliła młoda panna. — Baw się niemi...

Ludwika siadła na dywanie i zaczęła przerzucać je z ręki do ręki.

Kamilla zamknęła teraz sekretarzyk i wróciła do Maurycego.

— Nie, nie... — odparła. — Niema już szczęścia dla mnie... Ja już nie wyjdę za mąż... To postanowione...

Mówiła to bez żadnych giestów, głosem spokojnym i zrezygnowanym. Czuć jednak było w tonie jej mowy i widać było w jej znękanych oczach coś bardzo bolesnego.

— Co się z panią stanie? — rzekł po chwili inżynier.

Wzruszyła na to tylko ramionami, okazując najzupełniejszą pod tym względem obojętność. Życie jej było złamane. Nie miało ono już dla niej żadnego znaczenia.

— Lecz pani chyba nie ma zamiaru szukać dobrowolnej śmierci?... — nalegał Maurycy. — Byłoby to niegodnem pani... Wiem, że pani tego nie uczyni... A więc?

— Na razie jest mi tu bardzo... za dobrze...

— A gdy Ludwika wyzdrowieje?

— Wstąpię do jakiego klasztoru... w Hiszpanii lub w Belgii... i tam zakończę życie pod przybranem imieniem...

Młoda panna zamilkła. Wzrok jej błądził gdzieś w przestrzeni. Widziała się już, jak sztywna, z przymkniętemi powiekami, ze złożonemi na krzyż rękami leży na małem żelaznem łóżku w wybielonej wapnem celi. Zakonnice modlą się przy niej, klęcząc. Przy głowie jej pali się gromnica.

Maurycy również milczał. Zdjął binokle i wytarł sobie oczy. Wargi jego drżały.

Po chwili zupełnej ciszy, zaczął mówić stłumionym głosem, w którym czuć było łzy:

— A więc nie mam szczęścia... Przez całą swoją młodość, aż do ostatnich czasów pracowałem po szesnaście godzin na dzień... Nie miałem żadnego majątku i musiałem pomagać swej starej matce... Umarła ona właśnie wtedy, kiedy mogłem już dać jej te wygody, o których marzyłem dla niej. Nie mając wolnej dla siebie chwili, nie znałem, co to jest miłość, i poznałem ją dopiero, gdym panią ujrzał... Pokochałem panią... Sądziłem jednak, że Piotr stoi między nami... Gdym się przekonał o wzajemności pani, a poznałem radość uczucia, które znanem mi było tylko z mych cierpień... Lecz w kilka godzin potem niespodziewany dramat rozdzielił nas na nowo... I teraz staję przed przyszłością jeszcze boleśniejszą, niż ma smutna przeszłość...

Mówił wolno, ze skargą w oczach, z bolesnym wyrzutem na twarzy.

— Powiedziała pani, — ciągnął dalej — że skończy pani swe życie zapomniana przez wszystkich... Lecz pani wie, że ja zawsze będę myślał o pani... Będzie mi się ciągle zdawało, że pani cierpi... że pani już umiera...

Głos jego stłumiło łkania i odwrócił głowę, by nie widać było jego płaczu. Długo wstrzymywane łzy popłynęły z oczu Kamilli.

— Maurycy! — szepnęła.

I pokonana, skłoniła głowę na jego ramieniu, dodając cicho:

— Uczynię wszystko, co chcesz... Nie mogę dopuścić, byś tak cierpiał...

Maurycy wziął ją w swe objęcia i szepnął, nie skrywając już łez:

— Skarbie mój drogi... Powierz mi siebie...

Gdy się już uspokoili trochę, Kamilla naraz spytała:

— Co robi Ludwika?

Poszli do pokoju, w którym obłąkana spacerowała i rozmawiała z sobą.

— Bawi się — rzekła Kamilla. — Oh! jaki to bolesny dla mnie widok!...

Ludwika włożyła tymczasem na głowę kapelusz młodej panny. Obecnie kładła na siebie jej płaszcz. Obejrzała go i podeszła w nim do szafy lustrzanej. Maurycy i Kamilla zbliżyli się do okna, wychodzącego na ogród pałacowy i patrzyli na drzewa, zaledwie widoczne w zmroku wieczornym.

— Maurycy — rzekła młoda panna — niech pan da mi słowo honoru na to, że pan nic nie wie o losie mej matki i dziadka.

— Daję pani słowo honoru!

Głęboka zmarszczka przecinała na pół gładkie czoło nieszczęśliwej panny. Myśl miała ciągle zaprzątniętą domysłami o karze, jaka ma spaść na dwoje nędzników.

— Nieobecność pana Jacksona — rzekła — przestrasza mnie... Odkąd się o niej dowiedziałam, jestem ciągle niespokojna... On pewnie jest teraz z nimi...

— Myli się pani... Pan Jackson wyjechał teraz na spotkanie Piotra.

— Dokąd?

Inżynier zawahał się.

— Do Biarritz — odpowiedział wreszcie.

Nie umiał kłamać. Jeżeli król stu dwudziestu koni pojedzie tak szybko, jak się tego można było spodziewać, to dogoni Express między Dax a granicą, to znaczy koło Biarritz i tam też z pewnością zatrzyma się pociąg miliardera.

— Piotr nie jest w Biarritz — odparła Kamilla. — Widziałam go niedawno...

— Nie powiedziałem, że tam już jest... Lecz wkrótce tam będzie...

— Po co tam pojechali?... By ich ukarać... Tak... Lecz jak?... Dlaczego są w Biarritz?... Oh! co za straszna tajemnica!...

Młoda panna z przerażenia przymknęła oczy.

— Kamillo... ukochana moja... Uspokój się! Przecież Jackson przyrzekł być łagodnym!... Nie drżyj tak...

Inżynier wziął za ręce młodą pannę i nachylił się nad nią.

Zajęci sobą nie spostrzegli, jak Ludwika wysunęła się z pokoju.

Wymówione przez nich imię Piotra obudziło czujność obłąkanej. Uderzyło ją także słowo Biarritz. Pamiętała, że tak się nazywa pewna miejscowość. A oni mówili, że Piotr tam jest, albo, że tam jedzie.

Przeszła do buduaru i wyszła na korytarz. Oryentując się instynktem, jaki spotykać można nieraz u obłąkanych, zeszła na dół.

Portyer, siedząc w swej loży, ujrzał, iż zmierza do wyjścia. Wziął ją za Kamillę, której miała kapelusz i płaszcz i wstając z uszanowaniem, pociągnął za łańcuch od drzwi.

Ludwika wyszła i znalazła się na chodniku Avenue Bois de Boulogne.

Przejeżdżający dorożkarz zatrzymał się, wskazując, że jest wolny.

Ludwika uśmiechnęła się i podeszła do niego, a dorożkarz szybko zeskoczył z kozła i otworzył jej drzwiczki.

— Dokąd mam jechać? — zapytał.

Młoda panna weszła do dorożki i rzekła:

— Do Biarritz.

Dorożkarz stanął zdumiony. Pasażerka jego nie miała miny żartującej.

— Do Biarritz? — powtórzył, nie wiedząc, co myśleć i sądząc, że się przesłyszał.

Nagle uderzył się w czoło i zawołał:

— Ach! jakim ja głupi!

Dorożkarz zamknął drzwiczki i wskoczył na swe siedzenie.

— To jest cudzoziemka! — tłomaczył sobie. — Nie zna francuskiego i nie umie powiedzieć, by ją zawieźć na dworzec... Wymienia tylko stacyę, do której chce jechać... Dalej! wio!

Popędził konia i pojechał w stronę Łuku Zwycięstwa. Ponieważ woził już nieraz pasażerów, którzy na kufrach swych mieli wypisany adres „Biarritz“, wiedział, że winien jechać na Quai d'Orsay.

W chwili, gdy dorożkarz wjechał na plac Gwiazdy i wmięszał się w szereg innych pojazdów, drzwi pałacu miliardera gwałtownie się otworzyły i Maurycy, Kamilla, portyer z całą masą służby wybiegli na ulicę. Po stwierdzeniu zniknięcia Ludwiki, młodzi ludzie zaczęli jej szukać wszędzie, wołając, by zamknięto wszystkie wyjścia z pałacu. Uprzedzony o tem portyer, gdy się dowiedział, że panna de Lagunan nie wychodziła, domyślił się, komu otworzył drzwi. Wszyscy wybiegli na ulicę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył J. Merta, Bestwina.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy pseudonim polskiego powieściopisarza (imię i nazwisko).

— — — □ — — —
— — — □ — — —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
□
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
□
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Dzieło szukanego powieściopisarza. 2. Postać biblijna. 3. Inaczej świeża zieloność. 4. Starożytny sąd, lub miejsce sądu. 5. Przydomek jednego z królów polskich. 6. Miasto na Korsyce. 7. Samogłoska. 8. Miasto na Węgrzech. 9. Inaczej fosa. 10. Spółgłoska. 11. Turecka nazwa rumaka.

Łamigłówka.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z każdego z poniżej podanych imion wyjąć po jednej literze i utworzyć z nich nowe imię męskie.

Maciej
Stefan
Konstantyn
Juliusz
Aleksy
Zenon

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła Mar.. K. Skawina.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Stado, karp, nart, cześć, mak, em, wu, turnie, moc, łza, rosą

Zagadka.

Ułożył J. K. Janiszewski, Kraków.

Chciałbym mieć wprost, mam chętkę do tego,
Lecz ma ten tylko, kto pole posiada,
Jednak nikomu nie życzę wstecznego,
Bo jest to klęska, zniszczenie, zagłada!

Szarada.

Ułożył J. K. Janiszewski, Kraków.

Wyjdź, kochanku, za miasto, gdzie piękna jest *cała,*
Niech czar wiosny zobaczy twe *pierwsze i wtóre,*
We mnie struna zachwytu, tak żywo zadrgała,
Bo kocham naturę!

Z lewej strony bór ciemny, dumny się wyłania,
A tam w dole się snuje modrej rzeki wstęga,
Z prawej góra wysoka widok ci zasłania,
Ach! to żywa księga!

O, zwróć *trzecie i czwarte* jeszcze na firmament,
Jak się zmienił cudownie i przybrał w gwiazd szaty,
Każda gwiazdka tak miga, jak w słońcu dyament,
Jaki świat bogaty!...

Łamigłówka literacka.

Ułożył Mieczysław Czeczótka, Podłęże.

Wymienić po jednem dziele następujących autorów. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znanego polskiego powieściopisarza.

Łoziński ?
Sienkiewicz ?
Korzeniowski ?
Prus ?
Orzeszkowa ?
Dygasiński ?
Feldmann ?
Bolesławita ?
Szekspir ?
Gąsiorowski ?
Sieroszewski ?
Gawalewicz ?
Gruszecki ?
Kraszewski ?

Logogryf.

Ułożyła Br. Rutkowska, Piotrków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Litery, umieszczone w miejscu kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znakomitego polskiego humorysty i powieściopisarza.

□ — — — — —
— □ — — — —
— — □ — — —
— — — □ — —
— — — — □ —
— — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Imię żeńskie. 3. Miasto w Albanii. 4. Jedna ze stolic europejskich. 5. Prowincya państwa niemieckiego. 6. Miasto w gubernii Bessarabskiej.

Łamigłówka.

Ułożyła Dołężanka, Jordanówka.

Początkowe litery odpowiednio uzupełnionych wyrazów czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znakomitego współczesnego polskiego artysty dramatycznego.

— is
— lm
— om
— ar
— nn
— os
— en
— sa
— as
— ok
— ra
— ks

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Ewy hr. Dzieduszyckiej:* **Wygnani z raju.** Szkic powieściowy.

Na wiosnę POLECA **Zygmunt Ślimakowski** Kraków, Rynek gł. Linia A-B (obok gł. trafiki).

Bluzy, Halki, Pończochy, Rękawiczki, Żaboty, Kołnierze, Welonki, **Torebki**, Boa i Pióra strusie, Szale, **Żakiety włóczkowe**, Parasole. Najmodniejsze przybrania do sukien i przybory do szycia. **Ceny niskie! Towar doborowy!**

„HOTEL NARODOWY“

Kraków, ul. Poselska L. 22.

Po przejściu na innego właściciela **gruntownie zewnątrz i wewnątrz odrestaurowany.** Pokoje na parterze i piętrze nowo urządzone, parkiety, światło elektryczne, korytarze ogrzewane. Restauracya, łazienki, telefon i stajnia w miejscu. **Cena pokoi ze światłem i usługą od 2 koron w zwyż.**

NAJLEPSZE



PSY



wszystkich ras.

Największe olbrzymy, najlepiej tresowane **stróże i obrońcy**, bernardyny, nowofundlandzkie, leonbergery, dogi, buldogi, wilki, charty syberyjskie, ang., boksery etc. **od kor. 90 wzwyż. szczeniaki po kor. 50—70. Psy do polowania**, zupełnie do każdej zwierzyny **wytresowane**, angielskie laweraki, spanioly, gordony, setery, angielskie pointery, niemieckie krótkowłosy, francuskie gryfony, braksiry **od kor. 1·30 wzwyż**, Szczeniaki po **kor. 50—90. Najmniejsze karzełki**, pinczorki, ratlerki, mopsy, świeczliki **od kor. 50 wzwyż. Wszystkie inne rasy psów**: pinczery, pudle, szpice, foxterriery, jamniki **od kor. 40 wzwyż. Dostarcza solidnie** wszystkim sferom polskim w Galicyi, W. Ks. Poznańskiem i Królestwie z gwarancyą.

14 dni na próbę, z dostawą do domu.

NAJWIĘKSZY EKSPORT ZWIERZĄT „FLORA“ REPORA koło PRAGI (Czechy)

Baczność! Ponieważ jako solidni eksporterzy **żadnych bezwartościowych** powierzchownych illustr. cenników, jak zwykli handlarze nie wysyłamy, tylko **jedynie** ściśle **specyalne oferty** na **oznaczone rasy psów**, przeto prosimy przy zapytaniach i zamówieniach próbnych o **dokładne** podanie **rasy, wieku, koloru, wielkości i wymaganych przymiotów danego psa**, jak również oznaczenie **najwyższej ceny**, jaką można ofiarować za psa wraz **z kosztami transportu.** Setki podziękowań z wszystkich ziem polskich za dostarczone psy pierwszej jakości.

Wielka rzadkość! Najmniejszy angielski mops-karzełek „Bobb“ za K 95, największy ang. buldog-olbrzym, tresowany „Lord“ za K 135·—.

Do Ameryki i Kanady przeprawia najlepiej



Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka **99.**

Cena przeprawy okrętem 180 Koron. — Uważajcie na Nr. 99.

Odjazd z portu **w Tryeście: Carpathia**: d. 16 maja 1911, **Saxonia**: d. 23 maja 1911, **Pannonia**: dnia 6 czerwca 1911.

Z Liwerpolu: Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 20/5, 10/6, 8/7, 29/7, 9/8 1911.

Maurytania: dnia 3/6, 24/6, 22/7, 12/8 1911.

„OLLA“ jest dowodnie najlepszą hygieniczną specyalnością **GUMOWĄ** 2-let. gwaranc. za każdą sztukę.



„OLLA“ Polecone przez przeszło 2000 lekarzy. — Do nabycia we wszystkich aptekach i lepszych drog. Cena 4, 6 i 8 kor.



Kolekcya okazy 12 szt sortow. 5 kor.

Proszę obstawać przy tem, aby dostawca sprzedawał prawdziwe „OLLA“. — Zajmujący, pouczający i oryginalny cennik z podaniem składów bezpłatnie przez

„OLLA“ Gummi-Centrala, Wiedeń II 309

Praterstrasse 57.

Między innymi można nabyć **„OLLE“** we Lwowie: w aptekach Alojz. Hübnera, H. Rubla, J. Beisera, Ad. Aschkenazego, N. Dobrzańskiego, F. Dewechy'ego, J. Piepes-Poratyńskiego, A. Ehrbara, w drogueryach: Mikolascha i Sp., J. Rechena, H. Grünspana. Al. Hübnera, A. Beacoka, I. Fruchtmana, A. Oberhardta, Sidhoff i Grabowsky.

W Krakowie w aptekach: M. Pronia, K. Wiszniewskiego, N. Gralewskiego, Max. Redyka, Stan. Jakubowskiego, w drogueryach: R. Drobnera, Reima i Ski, I. Hanaka i Ski, Zopota i Ski, A. Mikuckiego, Arn. Reifera, A. Pachuckiego M. Doskowskiego, J. Wiśniewskiego.

w Bochni: u. J. Michnika; w Brodach u. L. Kallira, M. W. Zimelsa;
w Kołomyi; u aptekarza E. Stenzla
w Tarnopolu; u J. Freudenthala, Dr. Franzosa, O. Heilmanna;
w Tarnowie; u J. Niesiołowskiego, W. Bracha, L. Gostkiewicza;
w Przemyślu; M. Schwarza i F. Wojciechowskiego oraz we wszystkich aptekach i lepszych drogueryach.

Szczególnie wyborowe gatunki „OLLA“ specyalności dla panów;
Nr. 1203 najlepszej jakości tuzin 6 kor.
Nr. 1204 „ „ tuzin 8 „

Księgarnia D. E. Friedleina

Kraków, Rynek 17.

Książki na nagrody.

Katalog na żądanie bezpłatnie.

Gotuj na zapas.



Oryginalne Weck'a naczynia szklane i aparaty do utrzymania wszystkiego świeżem, umożliwiają **naturalny sposób życia.** Przeszło 1,000.000 w użyciu! **Znaczna oszczędność** na czasie, pracy i kosztach (konserwy owocowe nakładać bez cukru). Zawsze gotowe obiady, pokarmy dla chorych i zaprawa mleczna dla dzieci.

Wyczerpujące objaśnienia przesyła bezpłatnie **J. Weck**, Sp. z ogr. por.

Główny skład rozsyłkowy **Karol Müller**

M. Schönberg Nr. 160.

Pojedyncze, solidne bez zarzutu!

Rentowny wyrób likierów!

Renomowana firma fabryczna podejmuje się urządzenia pracowni do wyrabiania likierów **według praktycznej metody** reflektantom, którzy posiadają odpowiednie lokale i rozporządzają odpowiedniem kapitałem. **Wysoki zysk udowodniony.** Bezpłatna informacya, koncesya oraz gruntowne wyszkolenie przez wypróbowanego fachowca na miejscu.

Tylko poważne zgłoszenia pod **„Spirituosen 90453“** do

M. Dukes Nachf. Annoncen-Expedition

Wiedeń I., Wollzeile 9 zostaną uwzględnione.



Sanatoryum dla chorych-piersiowych w Zakopanem pod kierunkiem dra **K. Dłuskiego.**

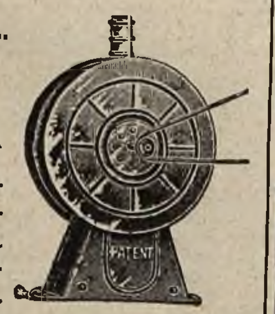
Nowość XX. wieku! Patent we wszystkich państwach. 3000 obrotów na minutę!

SENSACYA!



SIŁĘ JEDNEGO

CZŁOWIEKA



można uzyskać przez użycie mej turbinki wodociągowej. Niezbędne dla zegarmistrzów, dentystów, śliflerzy, ślusarzy.

W połączeniu z odpowiednią dynamo świeci 10—15 lampek elektrycznych. — Wody zużywa zadziwiająco mało. Szybkość obrotów łatwo się reguluje.

9 koron sztuka Znakomite do lokali restauracyjnych w połączeniu z wentylatorem. **9 koron sztuka**

Wysyła za zaliczką. Nie liczy porta i opakowania, jeśli należytość zostanie z góry nadesłaną.

Wł. J. Gargul, Bochnia.

Proszę zażądać prospektu.

Zastępstwo na Kraków i Podgórze: **Stanisław Łach, Kraków, ul. Czysta l. 8.**

ZAKOPANE

WILLA „MARYA“

PENSYONAT BUCHOWIECKICH

CAŁY ROK OTWARTY
POKOJE SŁONECZNE
KUCHNIA DOSKONAŁA

Pneumatyczne osadki do górnych lub dolnych sztucznych zębów „Dentsfixes“.

Chronią od bolesnego nacisku i utrwalają znakomicie nawet przy zaniku dziąseł i zupełnym braku własnych zębów. 30 sztuk listem polecconym 3 kor. 46 h do nabycia:

W Krakowie: w drogueryi Jana Linka, Sławkowska L. 1.
We Lwowie: w aptece Dra Piotra Mikolascha,
W Sanoku: w aptece Piotra Wąsowicza.
W Ustrzykach: w apt. dzierż. Tadeusza Frankowskiego.

Pierwszorzędna Pracownia **SUKIEN MĘSKICH**

Materyały i krój angielski

Leona Grabowskiego

właściciel firmy: **Gabryel Grabowski**

Wykończenie artystyczne.

w Krakowie, ulica Szpitalna L. 38. Telefon Nr. 301.

Lalki Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **S. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE ul. Grodzka 2**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.